



**Alison Roberts**

## **Doskonała pielęgniarka**

Tytuły oryginału: Nurse, Nanny... Bride!



## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Aha, to tak się czuje człowiek, któremu robi się słabo, pomyślała Alice. Jakby mu ktoś zniecka wyciągnął wtyczkę z mózgu, powodując, że krew gwałtownie odpływa, a głowę wypełnia nieprzyjemny szum.

Chciała zrobić krok, ale stopy miała jak z ołowiu. Dobrze, że chociaż ramię było jej posłuszne. Żeby nie upaść, chwyciła się barierki bocznej jednego z pustych łóżek na oddziale ratunkowym.

- Ally, co ci jest? - Głos pielęgniarki, która opuszczała barierkę z drugiej strony, docierał do niej jak przez gęstą mgłę. - Zbladłaś.

- Ja... - Uczepiła się kurczowo chłodnej barierki. Czarne plamy wirujące jej przed oczami powoli

bladły. Jeszcze chwila, a będzie mogła spojrzeć tam po raz drugi. To chyba przywidzenie. Ten mężczyzna tam, w drugim końcu oddziału, to na pewno nie Andrew Barrett. Andrew jest na innej półkuli, w Londynie, z którego po wielu kłopotach ostatecznie udało się jej wyjechać.

- Usiądź! - Silne ręce Jo popychały ją w stronę fotela. - Usiądź i połóż głowę na kolanach.

Oparła się.

- Jo, już mi przeszło. Naprawdę - zapewniła koleżankę. Szum w uszach praktycznie ustał. - Trochę mi się...

Zakręciło w głowie pod wpływem wspomnień, od których tak usilnie starała się uciec. To chyba nie on, tylko ktoś, kto ma podobny profil. Wysoki, dobrze zbudowany i opalony blondyn, amator sportów na

wolnym powietrzu. Sylwetka na tyle znajoma, że zdolna poruszyć różne dawne emocje.

Na przykład pożądanie.

Oraz te bardziej mroczne, jak zazdrość.

- Wykończona? - domyśliła się Jo. - Nic dziwnego. O której dotarłaś wczoraj do domu?

- Około jedenastej.

- A ile godzin jechałaś?

- Ponad dziesięć. Bo jak tym moim gratem ciągnęłam na przełęcz przyczepkę z koniem, to mu się chłodnica gotowała.

- O kurczę, współczuję! A potem jeszcze jedna godzina na nogach, żeby wyładować Bena i posprzątać przyczepę. Na pewno spałaś za krótko. A do tego załatwianie formalności związanych ze spadkiem po babci... - Jo objęła Alice. - Kochana, jadłaś śniadanie?

- Nie. - Prawdę mówiąc, już zapomniała, kiedy miała czas zasiąść do posiłku z prawdziwego zdarzenia. Nic dziwnego, że zrobiło się jej słabo. Albo że ma halucynacje. Bo w dalszym ciągu kipiała w niej burza emocji, które sprawiały, że poczuła złowieszczy ucisk w dołku.

- Zmykaj do pokoju dla personelu i zrób sobie grzanekę. Oraz gorącą czekoladę. Ja tu wszystko posprzątam.

Alice pokręciła głową. W drodze do pokoju dla personelu musiałaby przejść tuż obok dwóch mężczyzn, którzy oglądali zdjęcia rentgenowskie na ściennej przeglądarce. Może się okazać, że to nie iluzja. Że na jednego z nich wcale nie czekała i wcale nie ma ochoty go oglądać. Już nigdy. Bo drugi raz nie zamierza pójść tą drogą. Wyboistą i prowadzącą do nikąd.

- Jo, nic mi nie jest. - Uśmiechnęła się, opuściła barierkę i pociągnęła za róg prześcieradła, które należało zmienić. - Nie żałuję tej wyprawy. Przecież nie mogłam na cały tydzień zostawić Bena bez opieki, a nasze przejażdżki po plaży w pełni wynagrodziły mi sprzątanie domu babci. Ostatni lokatorzy zostawili tam potworny bałagan. Wcale się nie dziwię, że poszedł właściwie za wartość hipoteki.

- Ale już masz to za sobą - pocieszyła ją Jo. - Wynajem za zeszły rok i ta hipoteka wykańczały cię finansowo.

Alice przytaknęła. Należało to zrobić, i to zrobiła. Takie samo podejście miała do wszystkich trudnych spraw, którymi nękało ją życie. Załatwiała je z wysoko podniesionym czołem. Odetchnęła głębiej i z premedytacją spojrzała w stronę dwóch lekarzy.

- Kto to jest? - zapytała. - Ten z Peterem? Jo spojrzała przez ramię.

- Andy Barrett. - Uśmiechnęła się nieznacznie, po czym popatrzyła na Alice, lekko unosząc brwi. - Nasz nowy specjalista. - Apetyczny, nie?

Alice milczała.

- Anglik - wyjaśniła Jo. - Zjawił się tu dzień po tym, jak wyjechałaś. Wszyscy byliśmy zaskoczeni. Podobno Dave miał problemy zdrowotne, o których nas nie informował, a poszukiwania jego następcy trzymane w ścisłej tajemnicy. Ale dobrze na tym wyszliśmy. Podobno ten doktor Barrett był przez lata wielkim specjalistą w którymś z londyńskich szpitali, nie pamiętam którym. Chyba Hammersmith.

Alice ugryzła się w język. Bała się, że gdy otworzy usta, wyjaśni koleżance, że to nie był szpital Hammersmith, ale ten, w którym sama pracowała przez ponad rok.

Dopóki jej nie zwolniono.

A zrobił to niejaki doktor Andrew Barrett.

Jo ani nikt inny nie miał o tym pojęcia. I taka była intencja Alice. Nigdy więcej powrotu do tego mrocznego okresu poniżenia. Nie teraz.

Poza tym, że rok wcześniej zmarła babcia, ostatni członek jej rodziny, a teraz była zmuszona wziąć dziesięć dni urlopu, by sfinalizować sprzedaż babcinego domku, jej nowe życie toczyło się bez wstrząsów.

Wpatrywała się w profil człowieka, który jawił się jej jako nowe i poważne zagrożenie. W życiu zawodowym oraz prywatnym. Dlaczego przyleciał aż na drugą półkulę, wybierając akurat jej szpital? Nowa Zelandia nie jest taka mała! Dlaczego nie zatrudnił się w większym mieście na Wyspie Północnej? Nie ma tam wprawdzie stoków narciarskich ani gór, po których można się wspinać, ale jest pełno wody. Mógłby nauczyć się żeglować. Albo surfować!

Może Pam wie, co go tu sprowadziło. Już dawno powinna była odezwać się do jedynej koleżanki, jaka została jej w Londynie. Warto do niej napisać, nawet jeśli zna tylko plotki. Już sama decyzja, by wysłać e-maila do Pam, poprawiła jej nastrój, dała poczucie, że do pewnego stopnia panuje nad sytuacją.

Kończąc wraz z Jo sianie łóżka, kątem oka dostrzegła dłoń nowo przybyłego, która wskazywała coś na zdjęciu.

Ściągnęła brwi. Gdy ostatni raz go widziała, nosił złotą obrączkę, co raz na zawsze wybiło jej z głowy głupie marzenia.

Teraz obrączki nie było.

Do sali reanimacyjnej wwieziono ofiarę przemocy w rodzinie, trzydziestopięcioletnią kobietę dobrze znaną całemu zespołowi, jedną ze „stałych klientek”. Jej przyjaciel miał kontakty z mafią i nie oszczędzał

pięści ani butów, gdy coś mu się nie spodobało. Mimo to podczas poprzednich wizyt Janine konsekwentnie nie zgadzała się na powiadomienie policji.

- Może tym razem będzie inaczej - westchnęła pielęgniarka, która skierowała ją na oddział.

Janine leżała podejrzanie spokojnie. Twarz miała tak opuchniętą, że mówienie pewnie sprawiało jej ogromny ból.

- Nie - wykrztusiła, gdy Andrew zasugerował kontakt z policją. - Już mówiłam, że spadłam ze schodów.

Akurat... Ze schodów, które miały kłykcie i robocze buty. Rany na czole i wargach wymagały kilkunastu szwów. Kość policzkowa prawdopodobnie pęknięta. A do tego podejrzane zasinienia na żebrach, które ukazały się ich oczom, gdy pielęgniarka rozcięła jej ubranie.

- Proszę głęboko odetchnąć - powiedział Andrew, delikatnie obmacując żebra.

- Auuu! - Był to pierwszy sygnał, że Janine cierpi.

- Bardzo boli? - zapytał. Oddech prawidłowy ale płytki. - Jak bardzo? W skali od jednego do dziesięciu. Dziesięć to ból nie do wytrzymania.

- Nic mi nie jest - upierała się Janine. Miała zamknięte oczy, ale na czoło wystąpiły jej kropelki potu, mieszając się z krwią.

- Gdzie jeszcze panią boli?

Spod opuchniętej powieki wypłynęła łza.

- Chyba... ręka.

Gdy pielęgniarka rozcięła rękaw jej sweterka, Andrew, spoglądając na nienaturalny układ przedramienia i nadgarstka, nie miał wątpliwości, że jest to złamanie. Prawie otwarte. Kość była widoczna tuż pod skórą. Nawet nie było sensu sprawdzać ruchomości czy czucia w koń-

czynnie. Samo poruszenie palcami mogło rozerwać napiętą skórę i doprowadzić do infekcji. Półgłosem zwrócił się do pielęgniarki:

- Przyjechała karetką? Jo pokręciła głową.

- Nie. Prywatnym samochodem. Wysadzili ją przed drzwiami szpitala. Do recepcji doszła sama.

Andrew zacisnął wargi. Musiał się powstrzymać, by nie wybiec na zewnątrz do tego drania i nie obrzucić go obelgami. Ale przede wszystkim nie chciał myśleć o tym, że i jego kiedyś podejrzewano o to, że niewiele się różnił od towarzysza Janine.

- Kroplówka i unieruchomienie - zaordynował. – I środek przeciwbólowy. Jak zadziała, zbadam ją dokładniej, a potem na prześwietlenie.

Gdy wkluwał się w ramię pacjentki, kątem oka widział, jak podchodzi do nich druga pielęgniarka, która wprawnym ruchem podkłada szynę, po czym delikatnie, nie sprawiając Janine bólu, ją mocuje.

Przykleił kaniulę plastrem, po czym podniósł wzrok, by pochwalić nową pielęgniarkę. Dobrze, że tego nie zrobił kilka sekund wcześniej, bo chyba nie trafiłby w żyłę.

Alice Palmer?

Wiedział, że pochodziła z Nowej Zelandii. Dlaczego nie przyszło mu do głowy, że mogą się spotkać w tym szpitalu? Bo było mało prawdopodobne, że akurat tu zaproponują mu pracę? Czy dlatego, że tak bardzo chciał zapomnieć o niej oraz o tamtym okresie w swoim życiu?

Jak na ironię losu właśnie od tego chciał uciec na drugi koniec świata, chciał zacząć wszystko od nowa.

Co Alice wie? Zapewne niewiele, bo odeszła z pracy, zanim to się zaczęło. Niedługo potem okazało się, że zwolniono ją niesłusznie. I to on był za to odpowiedzialny. Zamierzał jej to wyjaśnić, ale gdy otrzy-

mawszy w kadrach jej adres, pojechał do niej, zastał opustoszały dom oraz tablicę z napisem „Na sprzedaż”, częściowo zakrytym naklejką „Sprzedane”. Było to pół roku później. Ktoś na oddziale ratunkowym mu powiedział, że Alice opuściła Anglię.

Teraz już jej tego nie wyjaśni, bo to zamierzyła przeszłość, tym bardziej że tamte wydarzenia najwyraźniej nie złamały jej kariery zawodowej. Gdyby jej powiedział, na pewno by pytała, skąd on to wie, a o tym zdecydowanie nie chciał mówić. Dla dobra Emmy.

Spoglądając na nią, rozważał, czy pokazać jej, że ją poznaje.

- Poproszę morfinę - rzucił neutralnym tonem.

Nie, nie przyzna się, by nie budzić ciekawości personelu. Zasypia go pytaniami, a on nie zamierza na nie odpowiadać. Kolejne zdanie wyrwało mu się, nim zdążył się nad nim zastanowić. Taka forma instynktownej obrony przez atak.

- Jeśli masz klucz do szafki z lekami.

Zrobiło jej się gorąco.

Odwróciła wzrok, by nie patrzeć mu w twarz. Postarzała, bardziej pociągła i nieodgadniona. Tak bardzo się zmienił, czy się dystansuje, by się nie zdradzić, że ją rozpoznał? To tak ma to wyglądać? Mają udawać, że nigdy razem nie pracowali oraz że nic o sobie nie wiedzą?

Otrzymała sygnał ostrzegawczy. Jego intencje stały się dla niej oczywiste. Jeśli rozpowie plotki, które do niej dotarły, nim wyjechała z Londynu, on ostrzeże przełożonych, że powierzanie jej kluczy do pewnych leków jest ryzykowne.

Ten ukryty szantaż zbulwersował ją jeszcze bardziej. Mimo wcześniejszej zdradzieckiej reakcji jej organizmu była przekonana, że już się w nim nie kocha. Od dawna. Mniej więcej od czasu, kiedy stała



przed jego biurkiem, a on oznajmił, że nie ma do niej zaufania, więc ona musi pożegnać się z zawodem pielęgniarstwa.

Próbowała go za to znienawidzić, ale poniosła porażkę. Tym bardziej że w połączeniu z poczuciem sprawiedliwości rozsądek jej podpowiadał, że Andrew zrobił tylko to, co do niego należało jako szefa. Zachował się bardzo przyzwoicie, dając jej możliwość złożenia wypowiedzenia, zamiast wdrożyć oficjalne śledztwo, którego wyniki wpisane do jej akt osobowych prześladowałyby ją do końca życia.

Jeśli chodzi o nią, nigdy nie uwierzyła w krążące o nim pogłoski. Nawet teraz, gdy pochylali się nad zmaltratowaną kobietą, czuła, że Andrew nie byłby zdolny skrzywdzić kogokolwiek, tak jak ona nie potrafiłaby kraść i zażywać narkotyków. Gdyby naprawdę chciał lepiej ją poznać, mógłby, wtedy i teraz, wykazać się podobnym zaufaniem.

Ale on nie chce. Uwagą o kluczu przypomniał jej o uwłaczających plotkach, których nie mogła zdementować. Oraz o tym, że jej nie ufał. Ze nigdy nie postarał się lepiej jej poznać. To bardzo przykre.

Oszczerstwo łatwo się do człowieka przykleja. Może nawet złamać życie. Czując na sobie wzrok Andrew, z ciężkim sercem wyjęła z szafki ampułkę morfiny, po czym wpisała się do rejestru.

Razem z Jo sprawdziły nazwę leku, dawkę, termin przydatności. Pod czujnym spojrzeniem koleżanki otworzyła ampułkę i wsunęła igłę strzykawki, czując, że mimo wszystko drżą jej ręce.

- Musisz koniecznie coś zjeść - szepnęła Jo.

Grzanka jej nie pomoże. Powinna zejść z oczu nowemu lekarzowi. Jak będzie wyglądała jej praca, gdy on będzie kontrolował każdy jej ruch? Czy ona mimo najlepszych intencji oraz z całkiem innych pobudek będzie musiała się powstrzymać, by nie śledzić każdego jego

ruchu? Szukając tego, co by jej przypomniało tamtego Andrew, w nadziei, że niczego się nie dopatrzy. Chętnie by uznała, że los był dla niej przychylny i że może raz na zawsze o tym zapomnieć.

Mogłabym zmienić oddział, pomyślała zdesperowana. Przejść na kardiologię, na dziecięcy albo na blok operacyjny. Nie. Bo kocha raktunkowy. Odzyskała równowagę wewnętrzną w dużej mierze dzięki pracy na tym oddziale.

Uzupełniła morfinę roztworem soli fizjologicznej, po czym wróciła do łóżka pacjentki i podała strzykawkę Andrew. Obserwując, jak Janine stopniowo się rozluźnia pod wpływem narkotyku, poczuła, że sama się uspokaja. Patrzyła na posiniaczoną i opuchniętą twarz pacjentki, na jej poobijane żebra, na ramię w szynie. Jak można znosić tak brutalne traktowanie? Koszmar.

Przeniosła spojrzenie na Andrew, zdając sobie sprawę, że emocje są wymalowane na jej twarzy.

Zależało jej, by to zauważył.

Łączy ich coś, o czym ich koledzy nie powinni się dowiedzieć. Oboje mają dużo do stracenia. Ale ona jest w trudniejszej sytuacji, bo ukrywa przed nim coś więcej. To dobrze, że nie przyznał się, że się znają. Dystans gwarantuje bezpieczeństwo, a gdy przestanie być bezpieczne, ona zrobi wszystko, by się bronić.

Andrew nie odwrócił spojrzenia. On też łatwo się nie podda. Teraz znaleźli się w impasie.

Katastrofa.

Alice wie więcej, niż myślał. Czy nadal jest w kontakcie z przyjaciółmi z Londynu, którzy donieśli jej o policyjnym dochodzeniu w

sprawie znanego specjalisty medycyny ratunkowej? To, że ona wie za dużo, jest równie niefortunne jak to, że on mija się z prawdą, dając jej do zrozumienia, że nadal ma o niej jak najgorsze mniemanie. Ale co innego mógłby zrobić?

Tu, w tym odległym zakątku świata, znalazł dla siebie i Emmy idealne miejsce. Są tu trochę ponad tydzień, ale dawno nie widział córeczki tak wesołej. To była bardzo trudna decyzja, wręcz bolesna. Przyznał się do porażki, co niektórzy poczytaliby za przyznanie się do winy, ale zrobił to dla małej. Nie chciał, by wychowywała się tam, gdzie mogłaby się zetknąć z ponurą przeszłością.

Nie mógł w nieskończoność uciekać. Środowisko lekarzy jest zadziwiająco mocno powiązane. Wszędzie znajdzie się ktoś, kto zna naszego znajomego. Widać to choćby na przykładzie Dave'a, który zawiadomił go o wakacie w tym szpitalu, mimo że dziesięć lat wcześniej tylko przez krótki czas razem pracowali w amerykańskim szpitalu.

Poczuł, że nagle znalazł się między młotem a kowadłem. Gdziekolwiek się ruszył, dopadało go poczucie winy. Pogrążony w niewesołych myślach, czekał, aż na ekranie pojawią się zdjęcia rentgenowskie Janine. Czy powinien porozmawiać z Alice na osobności, jak w pierwszej chwili zamierzał? Wyznać jej prawdę i ją przeprosić? Wyłożyć karty na stół i prosić ją o pomoc?

Dlaczego miałyby w ogóle chcieć mu pomóc? Straciła nie tylko pracę. Tego samego dnia, kiedy się dowiedział, że wyjechała z Anglii, doszło do niego, że bank wymusił na niej sprzedaż domu, że straciła wszystko. Mógł wtedy z nią porozmawiać, nawet postarać się o jakieś zadośćuczynienie, ale nikt nie wiedział, dokąd się udała. Potem rozsza-

łała się prawdziwa burza, więc zapomniał o wszystkim, bo myślał wyłącznie o tym, by przetrwać, by chronić Emmy.

Co teraz mógłby jej powiedzieć? Tłumaczenie, że nie mógł polegać jedynie na jej zapewnieniach o niewinności oraz przeprosiny za wszelkie niedogodności to za mało, by oczyścić atmosferę. Co gorsza, mogłoby to dać jej szansę na odwet.

Absurdalny pomysł. Zupełnie nie pasował do Alice Palmer, którą zapamiętał. Tej urodziwej pielęgniarce z oddziału ratunkowego, która zaprzyjaźniła się z jego narzeczoną, która była na ich weselu. Taka rzetelna. Trudno było uwierzyć, że wykradała morfinę i inne środki odurzające. To się w głowie nie mieściło, ale z kobietami nigdy nic nie wiadomo. A jaka okazała się Melissa?

O nie! Potarł skronie. Nie chce myśleć o Mel, o Londynie, o tym, co ma już za sobą. I dlatego nie wie, jak poradzić sobie z tym problemem, jakim jest współpraca z Alice Palmer.

Gdy na ekranie komputera pokazały się zdjęcia Janine, odetchnął z niekłamana ulgą. Przewijał kolejne obrazy. Kość policzkową należy zdrutować, a paskudne złamanie kości promieniowej i łokciowej wymaga zoperowania.

Ponieważ ortopeda oraz chirurg plastyczny już schodzili do Janine, pośpiesznie do niej wrócił, ponieważ czekało go zadanie wymagające ogromnego taktu: namówić ją, by wniosła skargę przeciwko swojemu przyjacielowi.

Zastał tam Alice. Sytuacja równie delikatna. Mógł-" by jej unikać, tak ustawić dyżury, żeby się na nią nie natknąć.

No nie. Dlaczego? Został szefem oddziału, więc musi go odpowiednio zorganizować, a Alice jest pielęgniarzką. Zapewne bardzo dobrą, ale on ma tu przewagę. I jej nie zmarnuje. Weźmie sprawy w swoje ręce.

Gdy Janine wywieziono na blok operacyjny, na oddziale zapanował względny spokój. Wręcz nuda. Alice doglądała pacjenta z padaczką, który odsypiał atak, cukrzyka, któremu należało od nowa ustawić dawki insuliny, oraz leciwą panią Stanbury z ostrą biegunką. Staruszka była bardzo odwodniona i wymagała częstej zmiany pampersów.

Kiedy karetka przywiozła czterdziestoletniego mężczyznę ze zdecydowanie za szybką akcją serca, Alice ochoczo wzięła się do pracy.

- Pacjent ma na imię Roger - oznajmił ratownik. - Częstoskurcz nadkomorowy. Tętno sto dziewięćdziesiąt sześć. Saturacja dziewięćdziesiąt osiem procent. Nie ma choroby serca w wywiadzie.

Roger był blady i wystraszony, ale jego życie nie było zagrożone. Alice lubiła kardiologię. Odczytywała elektrokardiogramy lepiej niż niejeden początkujący lekarz. I bardzo lubiła takie przypadki jak ten, bo szybko można było pacjentowi pomóc.

- Odczuwa pan ból w klatce piersiowej? - zapytała. Pokręcił głową.

- Ale trochę brakuje mi tchu. I czuję, jak bije mi serce.

- Czy już się zdarzało, że biło tak szybko?

- Nie.

Pomogła ratownikom przełożyć go na łóżko w kabinie, w której znajdował się sprzęt kardiologiczny. Podniosła oparcie łóżka tak, by chory znalazł się w pozycji prawie siedzącej, co miało mu ułatwić oddychanie. Gdy mocowała nad łóżkiem przewód połączony z butlą z tlenem, weszła Jo.

- Częstoskurcz nadkomorowy - poinformowała ją Alice. - Peter jest gdzieś pod ręką?

- Nie. - Andrew minął się z ratownikami, którzy już wyjeżdżali z noszami. - Ja biorę ten przypadek. - Trzymał w ręce raport ratowników z dopiętym różowym wydrukiem z przenośnego elektrokardiografu.

Przedstawił się pacjentowi; który spoglądał na niego ze strachem w oczach.

- Doktorze, czy to zawał?

- Zbadamy też i tę możliwość, ale w tej chwili nie widzę tu oznak zawału. Pana serce bije za szybko, żeby cokolwiek można było stwierdzić, więc najpierw postaramy się nieco zwolnić jego rytm. Proszę spróbować się zrelaksować.

Roger prychnął niezadowolony.

- Wiem, łatwo mi mówić, bo jestem po tej stronie - odparł Andrew, kładąc mu dłoń na ramieniu. - Wiem, że pan się boi, ale jest pan w najlepszych rękach.

Pod wpływem jego uśmiechu i gestu pacjent z cichym westchnieniem opadł na poduszki.

Ale ten uśmiech i gest zrobiły wrażenie także na Alice. Miała nadzieję, że nikt na to nie zwrócił uwagi.

Oto prawdziwy Andrew. Ileż to razy miała okazję widzieć skutki jego słów, gestów i uśmiechu? Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że dorównuje mu mało który lekarz. Oraz że do tej pory żałowała, że z nim nie pracuje.

- Masz rurkę? - Andrew zwrócił się do Jo.

- Jasne.

- I poproś technika, żeby tu zaszedł i zrobił EKG.

- Ja to mogę zrobić - odezwała się cicho Alice.

- Dobrze. Bierz się do roboty. - Zakładał rękawiczki. - Ja pobiorę krew.

Alice mogła zrobić i to, ale uznała, że być może tego dnia lekarze też się nudzą. Zaczęła zakładać pacjentowi elektrody. Tymczasem Andrew podał mu rurkę.

- Proszę nabrać powietrza w płuca - polecił - zacisnąć wargi na rurce i jak najdłużej w nią dmuchać.

W przypadku arytmii metoda Valsalvy często pomaga przywrócić normalny rytm serca. Wszyscy troje wpatrywali się w ekran monitora, a pacjent aż zrobił się czerwony z wysiłku. Rytm nie uległ zmianie.

- Niech pan chwilę odpocznie - zdecydował Andrew. - Spróbujemy jeszcze raz.

Alice umocowała już wszystkie końcówki EKG, więc postanowiła skorzystać z tej przerwy.

- Proszę się nie ruszać - poprosiła, włączając aparat. Ale pacjent jeszcze nie złapał tchu i wykres nie wyszedł tak dobrze, jak liczyła. Cholera! Zerwała pasek papieru.

- Powtórzmy.

Roger się skoncentrował, ale tym razem zabrakło kilku istotnych fragmentów wykresu.

- Odpadła końcówka z lewej kostki - odezwał się obojętnym tonem Andrew, a ona się zaczerwieniła.

Koszmar. Takie proste zadanie, a ona wyszła na idiotkę. Na domiar złego zdenerwowało ją to bardziej, niż powinno, bo odezwała się w niej dawna potrzeba zbierania pochwał. Ciągłe zależy jej na tym, by ją zauważono. Zobaczono. Czy to nie żałosne?

Andrew ponownie podał rurkę pacjentowi, więc ten znowu będzie bez tchu, a ona będzie zmuszona czekać.

Ostatecznie otrzymała idealny wykres, ale Andrew na nią nawet nie spojrzął, bo przyszedł Peter i wspólnie omawiali następny krok. Pacjent był przytomny, więc zastosowanie zewnętrznych impulsów elektrycznych, by przywrócić prawidłową pracę serca, nie wchodziło w grę. Do tego należałoby pacjentowi podać narkozę. Lepszym rozwiązaniem było podanie adenozy, środka wywołującego chemiczny ekwiwalent impulsu elektrycznego.

Procedura podania adenozy jest niełatwa, ponieważ należy wstrzyknąć ją w prawe ramię, by jak najszybciej dotarła do serca, i natychmiast podać roztwór soli fizjologicznej celem przepłukania. Potrzebne do tego są dwie osoby. Alice wielokrotnie podawała sól fizjologiczną.

Wymaga to idealnego wyczucia chwili. Kilka sekund później, czasami już po podaniu pierwszej dawki, można na ekranie zobaczyć, jak rytm serca zwalnia niczym za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Peter został z nimi w kabinie, by przyglądać się temu zabiegowi. Weszli też ratownicy, którzy już uprzątnęli karetkę. Andrew w jednej ręce trzymał przygotowaną adenozę, w drugiej roztwór soli fizjologicznej. Potrzebował pielęgniarki. Takiej, która wie, co ma robić.

- Alice ma doświadczenie - odezwał się Peter. -Robiłaś to już nieraz, prawda, Ally?

Przytaknęła. Miód spłynął na jej serce. Przechodząc na drugą stronę łóżka, minęła perfekcyjny wykres EKG, który ciągle czekał na swoją kolej. Cieszyło ją, że otrzymała szansę zrehabilitowania się za pozorny brak fachowości.



Ale Andrew spoglądał na drugą pielęgniarkę, na Jo, która stała u jego boku.

- Już to robiłaś, Jo?

- Nie.

- Nie szkodzi. - Pokrótce wyjaśnił jej, co ma robić.

Jo spojrzała na Alice, która stanęła jak wryta. Przeniósła wzrok na Petera, ale ten tylko lekko uniósł brwi. Skoro nowy członek zespołu chce podnosić kwalifikacje personelu, nie będzie protestował.

Alice poczuła się gorzej niż wtedy, gdy nie udało się jej EKG.

- Umiesz podawać kroplówki? - dopytywał się Andrew.

- Tak.

- To bierzmy się do roboty.

Stanęli ramię w ramię, strzykawka przy strzykawce. Jo oczywiście bez trudu wykonała powierzone jej zadanie, a potem wszyscy zapatrzili się w monitor.

Uszu Alice dobiegło ciche westchnienie Rogera, znak, że lek dotarł do celu, ale nie czekała na westchnienie ulgi zespołu. Nikt nie zauważył, jak wymknęła się z sali.

Nie jest tam potrzebna. A na pewno nie potrzebuje jej nowy lekarz.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Nieposiadanie porządnego samochodu ma swoje zalety, pomyślała Alice. Można nim bezkarnie przewozić absolutnie wszystko: psy, siodła, brudne derki. Można też wcisnąć gaz do dechy, nie narażając się na zarzut przekroczenia limitu prędkości. Nawet jeśli człowiek jest smutny albo wściekły i nie myśli o tym, że przed zakrętem należy zwolnić, nic mu nie grozi.

Mieszkanie daleko od miasta też ma pewne zalety. Zamiast ciasno zabudowanych ulic ogląda się zielone pastwiska, wzgórza i zachody słońca. Pod smukłymi pożółkłymi topolami pasły się owce, krowy i kuczki, a w rowie przed jednym z domów skubała wysoką trawę koza na łańcuchu.

Z każdą milą, która dzieliła ją od miasta, Alice czuła, jak opada z niej napięcie wywołane wydarzeniami minionego dnia. Dobrze jej zrobi ucieczka do najukochańszego miejsca na ziemi. Skreśliła w boczną drogę wiodącą do rozległej posiadłości z jednej strony zamkniętej zakolem rzeki, z drugiej wzgórzami. Ukrytej przed światem i, przynajmniej na razie, należącej wyłącznie do niej.

Jechała długim podjazdem wysadzonym stuletnimi dębami. Opuściła szybę, żeby pełnymi płucami wdychać zapach wilgotnego mchu i ziemi oraz zapach dymu z ogniska na którejś z sąsiadujących farm. Kominy zabytkowego ogromnego domostwa, rzecz jasna, nie dymiły. Dlaczego miałyby dymić, skoro od tak dawna nikt tam nie mieszka?

Nic nie wskazywało na to, by wkrótce znalazł się nowy właściciel. Kogo byłoby stać na mocno zrujnowaną rezydencję oddaloną o co

najmniej dwadzieścia minut od miasta? Nie dość, że paliwo jest drogie, to wręcz trudno sobie wyobrazić koszty renowacji oraz utrzymania pięćdziesięciu akrów ziemi. Im dłużej potrwa ten stan rzeczy, tym lepiej dla niej. Jest szczęśliwa, będąc tu jedynym lokatorem.

Dojeżdżając do zabudowań, skręciła w stronę rzeki, ku domkowi, w którym ongiś mieszkali pasterze owiec, a który rok temu pośrednik wynajął jej koleżance Mandy. Na widok drewnianej chatki i psa Jake'a, który rozciągnięty na schodach jej pilnował, Alice zapomniała o wszystkich przykrościach, jakie spotkały ją tego dnia.

Wysiadła z auta, po czym przykucnęła, by przywitać się z psem.

- Nareszcie w domu - westchnęła rozpromieniona.

Do zmroku brakowało dwóch godzin, a to znaczyło, że zdąży jeszcze osiodłać Bena i pojechać przez wzgórza do lasu, a wrócić szlakiem nad rzeką.

Gdy ubrana do konnej jazdy, z Jakiem przy nodze, ruszyła do stajni, już z daleka powitało ją ciche rżenie.

Tutaj jest potrzebna. Tutaj cieszy się zaufaniem. Jej chłopcy ją kochają. Tak, życie bywa okrutne, ale też i radosne. Jak teraz.

Ben rwał się do przejażdżki, więc pozwoliła mu wybrać kierunek. Ruszyli w stronę łagodnego zbocza. Tam będzie można sobie pogalopować.

Uśmiechnęła się. Tak!

Telewizja jest taka nudna...

Emmeline Barrett miała dosyć jazgotliwych kreskówek. Westchnęła, po czym usadowiła się na kanapie tak, by widzieć za oknem zielone pagórki i szafirowe niebo. Zupełnie inne od tego, co oglądała do tej pory, jak z bajki.

Haylee, jej nowa niania, leżała na drugiej kanapie i znowu rozmawiała przez komórkę.

- Niemożliwe! O rany! Ona? Hm... On nawet na nią nie spojrzy!

Haylee wcześniej obiecała Emmy, że po południu pójda na spacer. Nad rzekę albo do tego tajemniczego baśniowego lasu, którego sam widok przyprawiał Emmy o przyjemny dreszczyk emocji.

Nagle aż uklękła na kanapie. Z otwartą buzią patrzyła na wronęgo konia, który wypadł z lasu i galopował pod górę. W siodle siedziała najpewniej kobieta, bo Emmy zauważyła długie rozwiane włosy. Za nimi biegł wielki pies.

Prawdziwa bajka? Prawdziwy baśniowy las? Czy ta kobieta jest królową? Patrzyła, dopóki nie zniknęli za wzgórzem, po czym zeskoczyła z kanapy.

- Haylee...

- Uhm...

- Pójdziemy teraz na spacer? Proszę. - Przypomniała sobie o zasadach dobrego wychowania.

- Jeszcze nie teraz. Muszę trochę odpocząć.

Emmy spochmurniała. Popatrzyła na telewizor, potem na drzwi prowadzące do holu. Dalej są takie ciężkie drewniane drzwi, gdyby udało

sieje otworzyć, znalazła by się w kuchni, a tam są kolejne drzwi. Gdyby wyszła na dwór, to minąwszy sznur z suszącym się praniem, mogłaby dotrzeć na tamto wzgórze. A stamtąd zobaczyć tę królowną na czarnym koniu.

Zerknęła na Haylee, która dalej leżała z zamkniętymi oczami.

- Idę do łazienki - powiedziała.
- Poradzisz sobie sama?
- Jasne - obruszyła się Emmy. - Mam pięć lat!
- Dobra. Zaraz wracaj.

Pod drzwiami Emmy jeszcze raz popatrzyła na nianię, akurat w chwili, gdy komórka wysunęła się jej z ręki. Niania nie zareagowała, gdy telefon upadł na podłogę.

Z szelmowskim uśmiechem na wargach Emmy wyruszyła na poszukiwanie królowny.

Roger szykował się do wyjścia.

- Niech pan zaczeka! - powstrzymał go Andrew, spoglądając na kartkę, którą trzymał w ręce.

- Na co?
- Właśnie otrzymałem wyniki badania krwi. Ma pan podwyższony poziom troponiny.

- Co to znaczy?

- Wskazuje to na pewne uszkodzenie mięśnia sercowego.

Roger zbladł.

- Z powodu zawału?

- Tak. Poziom troponiny nie jest bardzo wysoki, więc i zawał nie był duży, ale musimy pana zatrzymać w celu przeprowadzenia dodatkowych badań.

- Ale... Ja chcę do domu.

- Rozumiem. - Andrew uśmiechnął się współczująco. - Niestety nic z tego.

Nie tylko Roger chciał wracać do domu. Andrew skończył już swój dyżur, ale został dłużej, by porozmawiać z Rogerem, skontaktować się z kardiologiem, a teraz tylko czekał, by przekazać mu pacjenta. W końcu zdjął słuchawki, włożył marynarkę i wyszedł na parking.

Minutę później silnik jego luksusowego auta, mrużąc cicho, pokonywał odległość dzielącą go od domu. Andrew gnał pośród pastwisk, nie dostrzegając barw jesieni ani nawet kozy pasącej się w rowie.

Nie mógł się doczekać, kiedy znowu ucałuje Emmy, bo nie widział jej od rana, kiedy znajdzie się w ich nowym domu, by przypomnieć sobie, dlaczego jechali tu taki kawał świata. Utwierdzić się w przekonaniu, że warto było podjąć taką decyzję, mimo że u celu przyszło mu pracować z osobą tak mocno związaną z jego dawnym życiem.

Wygrał pierwszą rundę. Pokazał jej, że jeśli mają razem pracować, to na jego warunkach. Więc dlaczego w dalszym ciągu obawia się przyszłości? Dlaczego nęka go przeświadczenie, że pokazał się z nie najlepszej strony?

Wjeżdżając głównym podjazdem na teren posiadłości, przy bocznej drodze, pod kępą drzew, zauważył przyczepkę dla konia. Aha, wróciła lokatorka. Amanda coś tam, o czym poinformował go notariusz.

Musi porozmawiać z tą Amandą. Ostrzec ją, że Niestety nie przedłuży jej umowy na wynajem, która wygasa z końcem bieżącego miesiąca.

Pośrednik zapewnił go, że bez trudu znajdzie małżeństwo, które w zamian za mieszkanie zajmie się Emmy i domem.

Dobrze by było, żeby ci ludzie mieli dzieci. Zapisał wprawdzie Emmy do szkoły w mieście, ale z powodu odległości trudno będzie jej odwiedzać koleżanki. Przydałoby się jej towarzystwo bliżej domu.

Słyszając od progu ryk telewizora, ściągnął brwi. Dlaczego Emmy ogląda te bzdury, zamiast bawić się na dworze, zażywając świeżego powietrza nieosiągalnego w centrum Londynu?

W drzwiach do salonu stanął jak wryty na widok pogrążonej we śnie opiekunki. Wyłączył telewizor, po czym zaczął się rozglądać za dowodami czegoś zdecydowanie gorszego niż senność. Puste butelki? Strzykawki? To żadna różnica. Historia znowu się powtarza. Okazuje się, że zostawił córkę pod okiem osoby, która nie bierze odpowiedzialności za siebie, a co dopiero za jego dziecko.

Haylee nagle otworzyła oczy.

- Gdzie jest Emmy? - zapytał.
- Poszła do łazienki. Wybiegł do holu.
- Emmy!

Przeszukał cały parter, garderobę pod schodami i piętro, zaglądając do swojej sypialni, do sypialni Emmy, a nawet do nieumeblowanych pomieszczeń.

- Emmy!

Gdy zbiegł na dół, zastał przestraszoną Haylee w kuchni.

- Jak długo spałaś?
- Nie wiem. Niedługo.

Rozejrzawszy się, zauważył otwarte kuchenne drzwi.

- Wyszła z domu? Sama?! - Czuł, że przestaje nad sobą panować.

- Daleko nie dotarła.

- Skąd wiesz? Nie masz nawet pojęcia, jak długo spałaś! - Kipiał ze złości. - Uważasz, że trzeba iść daleko, żeby stało się coś złego?! Tam jest rzeka!

- Pomogę panu... jej szukać. -Haylee była bliska łez.

- Nie! - Nawet na nią nie spojrział. - Pakuj się i wracaj do domu! Nie będziesz opiekowała się moją córką! Zwalniam cię!

Wypadł do ogrodu. Poprzez suszące się pranie, ponad gęstym nie-  
strzyżonym żywopłotem otaczającym warzywnik, dostrzegł furtkę.  
Uchyłoną na tyle, by przecisnęło się przez nią małe dziecko.

- Emmy!

O kurczę, dziewczynka w zagrodzie Bena. Śliczna blondyneczka wpatrywała się w nią z nieskrywanym uwielbieniem.

- Jake!

Niepotrzebnie się tak przestraszyła, bo jej pies leżał daleko od dziec-  
ka, z łbem na przednich łapach, i czekał. Ben chyba też rozumiał, że  
należy zachować ostrożność. Zatrzymał się, nawet nie spoglądając na  
betonowe poidło tuż obok dziewczynki.

- Cześć - powiedziała Alice. - Jak ci na imię?

- Emmy.

- A ja jestem Alice. - Zeskoczyła z konia, zdjęła kask i od razu, nim  
zdążył się ruszyć, chwyciła wodze. Jakie to dziecko w różowej sukien-  
ce i białych podkolanówkach kručze w porównaniu z Benem.

- Widziałam was - odezwała się Emmy. - Przez okno.

- Hm... - Alice rozejrzała się, mimo że w pobliżu nie było ani jedne-  
go okna. Dziwne. - Jesteś sama?



Emmy przytaknęła.

- Haylee śpi. Jest zmęczona.

Może ja też jestem zmęczona? I dramatycznie spadł mi poziom cukru w krwi? - pomyślała Alice. I mam przywidzenia.

- Jesteś królową?

Na sto procent halucynacje.

- Nie.

- A on jest zaczarowany? - Emmy pokazała palcem Bena.

W spojrzeniu dziewczynki było coś znajomego. Jej dawna dziecięca tęsknota, by kiedyś dosiąść własnego kucyka.

- Trochę tak - odparła Alice, uśmiechając się. - Bo sprawia, że dzieją się dobre rzeczy. Chcesz go poklepać?

Oczy dziewczynki zrobiły się jak spodki, ale błysnął w nich strach. Szybko jednak odetchnęła głębiej, po czym pokiwała głową.

- Tak.

Dzielny dzieciak. Alice wzięła ją za rękę.

- On nie zrobi ci krzywdy. Lubi dzieci. Podniosę cię, żebyś mogła dosięgnąć jego szyi. - Na tle czarnej sierści rączka Emmy wydawała się jeszcze mniejsza i bardzo blada. - Duży, prawda? I dlatego nazywa się Ben, jak Big Ben, ten wielki zegar w Londynie.

- Wiem. Ja mam pięć lat - odparło z godnością dziecko.

Alice zamurowało, bo dopiero teraz zwróciła uwagę na akcent dziewczynki.

- Mieszkałaś w Londynie?

- Tak. - Emmy sięgała do grzywy Bena.

- A teraz gdzie mieszkasz?

- Tutaj.

Na pewno nie przyszła z najbliższej farmy, więc mogła przyjść tylko z dworu. Dla pięciolatka to i tak spory kawałek. Kto to jest Haylee? Siostra? Gdzie są rodzice? Nie zdają sobie sprawy, ile niebezpieczeństw czyha na dziecko na tak dużym obszarze? A gdyby nie było jej w domu albo gdyby Ben nie był taki łagodny? A rzeka?

Przy najbliższej okazji musi przemówić do rozumu rodzicom Emmy.

- Jak się nazywasz? - zapytała, ale Emmy była zbyt pochłonięta rozczesywaniem palcami grzywy Bena. - Jak się nazywa twój tata? - powtórzyła pytanie.

- Tata.

Alice uśmiechnęła się zrezygnowana. Pewnie nie-  
długo ktoś po małą przyjdzie. j

- Chcesz na nim usiąść? - Emmy skinęła głową. ) - Ale musisz włożyć mój kask. To jest specjalny kask i dla prawdziwych jeźdźców.

Chwilę później na grzbiecie wielkiego czarnego konia siedziała mała królewna ze złotymi lokami wymykającymi się spod kasku. Wyglądała jak ziarnko grochu na dyni, ale była bardzo szczęśliwą królewną. Widać było, że nie posiada się z radości. Ten zachwyty udzielił się Alice.

Mogłyby tak trwać bez końca, gdyby Jake nie uniósł pyska, zjeżył się i cicho warknął.

Sekundę później Alice dobiegł rozgniewany męski głos.

- Co pani wyrabia z moim dzieckiem?!

Emmy wybuchnęła płaczem. Jake warknął głośniejszym, po czym szczełnął ostrzegawczo.

Lecz Alice się nie odwróciła. Po prostu nie mogła, rozpoznawszy znajomy głos. Okrutny los sprawił, że „Tatą” okazał się Andrew Barrett. O Boże.

- Nie płacz - zwróciła się do Emmy. A może do siebie? - Nic się nie stało.

- Nieee! - Łzy ciekły malej po policzkach. - Tata się na mnie gniewa!

- Hm... - Alice się uśmiechnęła. - Myślę, że gniewa się na mnie.

Emmy przestała płakać.

- Dlaczego?

No właśnie, dlaczego? W tej chwili Alice niczemu nie czuła się winna. Gdy się odwróciła, spotkała ją miła niespodzianka, bo Andrew stanął jak wryty. Nie tylko z powodu groźnie wyglądającego psa, który ulokował się między swoją panią a obcym, ale też dlatego, że ją rozpoznał.

- Co ty tu robisz?

Na twarzy jej dawnego szefa malowało się przerażenie i przez moment wydawało się jej, że Andrew się jej boi. Absurd. Ale dodało jej to odwagi.

- Ja tu mieszkam. Ale co ty tu robisz?

- Jestem właścicielem tej posiadłości - warknął. - I ty tu na pewno nie mieszkasz.

- Tato, ona tu naprawdę mieszka. - Emmy pociągnęła nosem. - Z Benem.

- Milcz, Emmeline, teraz ja mówię.

O rany. Jakim on jest ojcem? Ten ostry ton rozwiął jej dawne obrażenie o jego ojcowskich instynktach. Nie spodobał się ani Alice,

ani Emmy, która spoglądała na ojca spode łba. Chciał zrobić krok, ale Jake znowu zawarczał.

- Uspokój go!

Odczekała sekundę, potem drugą.

- Jake - przywołała psa półgłosem, a on podszedł do niej, po czym usiadł, opierając się o jej nogę.

- A teraz zdejmij moją córkę z tego potwora. Tego było dla Emmy za wiele.

- To nie jest potwór! - zawołała, przytulając się do szyi Bena. - On jest piękny - mówiła z przekonaniem. - Jest moim nowym przyjacielem. I jest czarodziejski. Tak powiedziała Alice.

Alice mocno trzymała ją za nogę, jednocześnie obserwując twarz Andrew. Być może zastanawiał się, jak zareagować na bunt dziecka albo usiłował pojąć, jak doszło do tej sytuacji.

Nie zganiał Emmy, więc może nie jest tak surowy i despotyczny, jak jej się w pierwszej chwili wydawało, a może to jej obecność na chwilę wytrąciła go z równowagi. Miejsce niezdecydowania wkrótce przejęła złość.

- Gdzie ty faktycznie mieszkasz?

- W tym domku. Pokręcił głową.

- Nie. Domek dzierżawi kobieta o imieniu Amanda.

- Owszem. Mandy Jones. Podpisała umowę na rok, ale przeniosła się ze swoim chłopakiem do Włoch. Mieszkałam z nią, więc od października mieszkam tu sama.

- Nie poinformowano mnie o zmianie umowy.

- Byłyśmy u notariusza. Nowa umowa jest na moje nazwisko.

Przyszła jej do głowy ponura myśl. A jeśli ta umowa nie jest zgodna z prawem? Czy Andrew może ją stąd eksmitować? Gdzie ona się podzieje z koniem i psem?

TLR

Wolną ręką pogładziła Jake'a po łbie, by dodać sobie odwagi. Żeby pozbyć się uczucia, że jej życie znowu się wali. Podniosła wzrok na Emmy.

- Alice... już mnie zdejmij.

- Nie ma sprawy. Przełóż nogę na tę stronę. - Wyciągnęła ramiona po Emmy, po czym postawiła ją na ziemi. Ben, kochany, ani drgnął. Jeszcze przez chwilę przytulała małą, by dać jej sygnał, że nic jej nie grozi.

Emmy pogłaskała Jake'a, po czym podeszła do ojca.

- Idziemy, tato. Jeść mi się chce. - Spojrzała przez ramię na Alice. - Czy mogę się na nim jeszcze przejechać? Jutro?

- Hm... Porozmawiaj o tym z tatą.

Niewiele wyniknie z tej rozmowy, pomyślała ponuro Alice, sądząc po spojrzeniu, jakim Andrew ją obrzucił. Czuła się zbędna, gdy na oddziale wybrał Jo, ale teraz zabolalo ją to jeszcze bardziej.

Spuściła wzrok na jego buty. Już nie były lśniące jak w szpitalu, ale ubłocone. Jak to zobaczy, to na pewno całą winę zrzuci na nią, a ona rano znowu go spotka na oddziale.

Miała ochotę się rozplakać jak mała Emmy, ale już dawno nauczyła się zastępować żal innymi emocjami. Na przykład gniewem. Wysoko uniosła głowę.

- Powiedz mamie Emmy, żeby jej nie puszczała samej. Ta rzeka jest zdradliwa i nieodgrodzona.

Emmy pokręciła głową.

- Ja nie mam mamy. Ona umarła, prawda, tato?

- Tak - uciał, ewidentnie zamykając dyskusję. Niezliczone pytania cisnęły się Alice na usta. Co się stało z Melissą? Kiedy? Czy Emmy

bardzo za nią tęskni? A Andrew? Czy to dlatego wybrał się na drugi koniec świata, by tu samotnie wychowywać dziecko?

- Ale mam nianię.

- Nie masz - powiedział Andrew zmęczonym tonem. - Haylee już z nami nie mieszka.

- Dlatego że była taka zmęczona?

Andrew wziął Emmy na rękę, a ona objęła go za szyję, wtulając w niego twarz.

- Tak, skarbie. Bo była zbyt zmęczona, żeby cię pilnować. Pożegnaj się z Alice, bo wracamy do domu.

Emmy wyjrzała znad ramienia ojca. Wielkie niebieskie oczy i jasne loki, takie same jak jej matki. Ta sama krucha uroda, której nie potrafi się oprzeć większość mężczyzn, ale wtedy to Melissa wybrała Andrew.

- Do widzenia, Alice - powiedziała Emmy.

- Do zobaczenia.

Zdażyła się przyzwyczać do tego, że od ponad pięciu miesięcy mieszka sama. Ma Bena i Jake'a. Więc dlaczego, patrząc za oddalającą się sylwetką Andrew z dzieckiem na rękach, czuje się taka osamotniona?

A nawet przestraszona.

## ROZDZIAŁ TRZECI

- Jest pan pewien?

- Niestety tak, doktorze. To jest uwierzytelniony podpis, więc wszystko jest zgodne z prawem. Nie wiedziałem o tym aneksie do umowy, ponieważ przebywałem wtedy za granicą, więc zajmował się tym mój partner, który najwyraźniej nie dołączył go do akt.

- To znaczy, że mam związane ręce?

- Tylko przez trzy tygodnie. -Notariusz uniósł brwi. - O ile dobrze pamiętam, kupując to siedlisko, był pan skłonny poczekać do wygaśnięcia tej umowy.

- Bo nie wiedziałem, kto faktycznie zamieszkuje ten domek.

- I to ta osoba panu przeszkadza?

- Tak.

- Hm... - Notariusz przygotował czystą kartkę papieru. - W jaki sposób ta pani panu przeszkadza?

Andrew się zastanowił. Bo tam przebywa, czy to nie wystarczy? Tym bardziej, że jego córka uznała Alice Palmer za istotę obdarzoną czarodziejską mocą. Poprzedniego wieczoru o niczym innym nie mówiła, a chwilami paplała tak szybko, że nie sposób było ją zrozumieć.

Opowiedziała mu, jak gapiąc się przez okno, nagle zobaczyła kobietę z rozwianymi włosami galopującą na czarnym koniu.

- Tato, wyglądała jak prawdziwa królewna. Czy moje włosy też urosną takie długie?



Jego ukochana córeczka siedziała na grzbiecie gigantycznego konia o dziwnym imieniu Zegar.

- Alice nauczy mnie jeździć konno, jak ją bardzo, bardzo, bardzo ładnie poproszę, prawda? Ona jest bardzo miła, prawda, tato?

W jej beładnej opowieści kilka razy pojawiło się imię Ben.

- Sądzę, że ona z kimś dzieli to mieszkanie - poinformował notariusza. - Z mężczyzną o imieniu Ben.

- Hm... Będę musiał to sprawdzić, ale nie sądzą, żeby mogło to stanowić podstawę zerwania umowy. Bezpodstawna eksmisja może się wiązać z poważnymi konsekwencjami, jeśli ta pani Palmer się zdenerwuje. Czy ona albo jej towarzysz w jakikolwiek sposób niszczą pana posiadłość?

- Nie zauważyłem.

Kwietne rabatki oraz grządki z warzywami, które mijał, niosąc Emmy do domu, w sąsiedztwie domku pasterzy wyglądały na zdecydowanie bardziej zadbane niż jakikolwiek inny zakątek jego nowej posiadłości. Prawdę mówiąc, gdy zobaczył ją pierwszy raz, był w szoku, ale tak to bywa, jak się kupuje nieruchomości przez internet.

Westchnął. Nie chciał, by Alice „się zdenerwowała”, ani nie chciał włączyć się po sądach. Musi zacisnąć zęby i wytrzymać te trzy tygodnie. Oraz modlić się, żeby Emmy jeszcze bardziej się nie zakochała w tej nowo poznanej „królewnie”.

Zerknął na zegarek.

- Nie mam na to czasu - mruknął. - Już i tak spóźniłem się na dyżur.

- O, to coś dla ciebie!

- Co takiego?

- „Nieruchomość, pięć akrów, idealna dla miłośników koni. Trzy pokoje, stajnia, ujeżdżalnia, basen, pół godziny jazdy od centrum. Od zaraz”.

- Za ile?

- Hm... Sześćset dolarów za tydzień. Alice o mało nie zachłysnęła się kawą.

- Jo, popukaj się w głowę!

Jo w skupieniu omiatała wzrokiem kolumny ogłoszeniowe.

- Może to? „Parterowy domek na farmie. Spokojna okolica. Dwieście dolarów tygodniowo”.

- No, trochę lepiej.

- Oj, nie! - jęknęła Jo. - Północne Canterbury. Co najmniej dwie godziny jazdy.

W pokoju dla personelu zapadła ponura cisza.

- Jesteś pewna, że będziesz musiała się wyprowadzić?

- Na sto procent. Umowa kończy mi się za trzy tygodnie. Obawiam się, że mogę być zmuszona zamieszkać w dzikich ostępach północnego Canterbury.

- Na pewno panuje tam sielski spokój - rzekła z przekąsem Jo. - Nie możesz wynająć zagrody dla Bena? Tu jest mnóstwo ogłoszeń o pastwiskach do wynajęcia. I wtedy mogłabyś pomieszkać u mnie, dopóki czegoś nie znajdziesz.

- Wolno trzymać psy w twoim domu? Duże, a do tego kudłate?

Jo smutno pokręciła głową.

- Nie. Nawet małych i łysych. A może byś oddała Jake'a do hotelu dla psów? Na jakiś czas.

- Nie ma mowy. Ktoś go porzucił, a ja go przygarnęłam. Nie chcę, aby myślał, że znowu jest niechciany.

Jo uśmiechnęła się.

- Jak ty kochasz te swoje zwierzaki! - westchnęła.

- Bo to moja rodzina. - Alice potrząsnęła głową.

- Musi być na to jakaś rada. Potem się tym zajmę. - Wstała. - Do roboty, Jo. To miały być tylko dwie minutki.

- Nie jesteśmy takie zajęte...

- Nie kuś losu!

Ledwie przekroczył próg oddziału, znalazł się w oku cyklonu. Zasłony wszystkich trzech stanowisk reanimacyjnych były zaciągnięte, z głębi sali dochodziły krzyki, pielęgniarki, technicy i sanitariusze przemieszczali się we wszystkich kierunkach, ktoś pchał wózek, ktoś inny biegł z próbkami krwi. Przed stanowiskiem pielęgniarki dokonującej segregacji rannych stało w kolejce dwoje noszy oraz łóżko z pacjentem.

Zły, że przyszedł do pracy godzinę później, niż przewidywał plan dyżurów, Andrew skierował się w jej stronę, starając się nie myśleć o tym, że akurat tej osoby wolałby nie oglądać.

Alice rozmawiała z ratownikiem przy pierwszych noszach.

- Obawiam się, że w tej chwili zwichnięta kostka nie kwalifikuje się jako priorytet. Poszukaj wózka i jedź z pacjentką do recepcji. - Jej wzrok padł na Andrew.

Spłoszone spojrzenie Alice wywołało w nim uczucie podobne do zawstydzenia. Stłumił to pospiesznie. To dobrze, że Alice nie czuje się pewnie. To on kontroluje sytuację i ona o tym wie.

- Co się dzieje? - zagadnął ją zasadniczym tonem. -1 gdzie jestem potrzebny?

- Na dwóch stanowiskach reanimacyjnych są poszkodowani w wypadku drogowym - odparła niespeszona. - W tej chwili trzeba kursować między wszystkimi.

Między wszystkimi? Tymi z lekkimi dolegliwościami, skoro są ofiary wypadku? Może do jej obowiązków rzeczywiście należy ustalanie priorytetów, ale odebrał to jak zamach na swój autorytet.

- Gdzie są stażyści?

- Jeden pojechał z wylewem na tomografię komputerową, dwoje jest przy rozerwanej tętnicy, a reszta przy poszkodowanych z wypadku. Na trójce pacjent z bólem kardiologicznym ciągle czeka na zbadanie przez lekarza.

- A Peter?

- Na jedyńce.

Personelu stopniowo przybywało. Do ofiar wypadku ściągnięto dodatkowych lekarzy. Uchyliwszy zasłonę pierwszego stanowiska reanimacyjnego, Andrew zauważył kardiochirurga, anestezjologa oraz cały zespół oddziału ratunkowego. Jeszcze jeden specjalista im niepotrzebny.

Rozległ się sygnał alarmowy. Wyłączając go, Alice spojrzała na monitor.

- Trójka, skurcze komorowe przedwczesne - stwierdziła opanowanym tonem, spoglądając na Andrew.

Pacjent kardiologiczny był niestabilny, a zaburzony rytm ostrzegał, że jego stan w każdej chwili może gwałtownie się pogorszyć. Nim Andrew to pomyślał, rozległ się drugi sygnał alarmowy.

- Migotanie komór. Przyrowadzę zestaw reanimacyjny. - Alice zerknęła w stronę stanowiska. - Jo, przejmij segregację.

Pod stanowiskiem numer trzy znaleźli się w tej samej chwili, ale to Alice przejęła inicjatywę. Błyskawicznie opuściła oparcie łóżka, po czym zwinętą pięścią uderzyła pacjenta w środek klatki piersiowej.

Uderzenie przedsercowe czasami wystarcza, by przywrócić prawidłową pracę serca. Ale nie tym razem. Gdy Andrew zdjął pacjentowi maskę tlenową, ktoś mu, podał maseczkę resuscytatora. Jak Alice to zrobiła, jednocześnie mocując elektrody do klatki piersiowej pacjenta?

- Defibrylacja? - spytała krótko.

- Ty to zrób. Gdzie jest zestaw do intubacji?

- Za tobą. Uwaga!

Trzykrotna kardiowersja nie przyniosła rezultatu, więc Andrew po raz kolejny użył respiratora, kątem oka rejestrując modelowe wręcz ułożenie dłoni Alice, gdy przystąpiła do masażu serca.

- Gdzie reszta zespołu?

- Zapewne zajęta - odrzekła, nie przerywając uciskania klatki piersiowej.

Zza zasłony dochodziły ich jęki, odgłosy przesuwanej aparatury oraz krótkie polecenia wydawane ostrym tonem, co wskazywało, że ich koledzy też walczą o czyjeś życie.

- Dwadzieścia pięć, dwadzieścia sześć, dwadzieścia siedem... - liczyła głośno.

Jak dojdzie do trzydziestu, Andrew ponownie użyje respiratora.

- Potrzebuję tu kogoś innego - odezwał się nagle. Alice wyprostowała się, czekając, aż Andrew poda tlen.

- Andrew, to jest moja praca - rzuciła lekko zasapana. - Pogódź się z tym.

Błyskawicznie do niego dotarło, że zaszło nieporozumienie.

- My potrzebujemy tu jeszcze kogoś - wycedził przez zęby. Jak można w takiej sytuacji wywlekać osobiste animozje?! - Trzeba podłączyć go do kroplówki, odmierzyć adrenalinę. Przyda mi się ktoś do pomocy przy intubacji, no i konieczny jest nieprzerwany masaż.

Alice podniosła na niego wzrok.

- Jak trzeba, to sobie poradzimy i bez nich - stwierdziła ze stoickim spokojem.

Tak też się stało.

Posiłki nadeszły pięć minut później, ale nie pozostawało im nic innego, jak stać i patrzeć. Pacjent był zaintubowany, podłączony do kroplówki i, co najważniejsze, obraz na ekranie monitora pokazywał rytm serca utrzymujący pacjenta przy życiu.

- Dobra robota - odezwał się ktoś.

Alice, która akurat mierzyła tętno pacjenta, podniosła wzrok na Andrew.

Dostrzegł w jej oczach zadowolenie. Chyba nawet triumfowała. Ale było też coś więcej. Satysfakcja, że sprawdzili się jako zespół. Bez siebie nawzajem by sobie nie poradzili.

Była zarumieniona z wysiłku, jaki włożyła w akcję reanimacyjną. Z grubego warkocza wysunęło się kilka kosmyków, a jeden z nich opadł jej na policzek. Miała włosy tego samego koloru co piegi na nosie.

- Wygraliśmy - powiedziała z uśmiechem. - Możemy sobie pogratulować.

Przytaknął. Nie mógł odwzajemnić uśmiechu, bo musiał się uporać z przerażającym odkryciem, że całkiem nieoczekiwanie ta kobieta mu się podoba. Bardzo.

Gdyby nie była przyczyną tylu problemów w jego życiu, bez chwili wahania odgarnąłby jej ten kosmyk.

Na szczęście pacjent się poruszył, kierując jego myśli na bezpieczniejszy tor.

- Wraca do siebie.

- Oddychanie samodzielne - odnotowała Alice.

- Usuńmy rurkę intubacyjną - zdecydował, ponieważ rytm serca pacjenta był miarowy, czego dowodem był jego obraz na ekranie. - Teraz niech się nim zajmie kardiolog.

Jeśli dopisze mu szczęście, z równym powodzeniem rozwiąże swoje własne problemy związane z Alice Palmer. To, że jest taka atrakcyjna, nie ma najmniejszego znaczenia.

Zdecydowanie żadnego. Więc dlaczego stale się jej przygląda? Przechodząc obok jednej z kabin, zauważył, jak wprawnym ruchem zakłada pacjentowi kaniulę do kroplówki, jak z cierpliwością anioła krok za krokiem prowadzi staruszkę do toalety, jak uśmiecha się do Jo, gdy mijają się wózkami z pacjentem.

Bez sensu.

Na szczęście po południu na oddziale zrobiło się spokojniej.

- Chcesz wcześniej wyjść, tak? - zapytał go Peter. - Bo musisz odebrać dziecko.

- Powinienem zostać. Głupio mi, że rano się spóźniłem.

Peter się uśmiechnął.

- To nie twoja wina, że mieliśmy urwanie głowy. Sprawdziłeś się, w pojedynkę stabilizując tego pacjenta z zaburzeniami rytmu serca.

- Nie byłem sam.

- No nie. - Szef oddziału uważnie mu się przyjrzał. - Nie uważasz, że Alice jest na wagę złota?

Złoto. Jak te złote refleksy w jej oczach.

- Owszem - odparł Andrew tonem bardziej zrównoważonym niż stan jego umysłu.

Z bólem serca musiał przyznać, że nie dość, że nie potrafi nie zwracać na nią uwagi, to jego szef właśnie dał mu do zrozumienia, że Alice jest tu ceniona. Czyżby Peter się zorientował, że trudno im się współpracuje?

Alice mu się pożaliła?

Znowu pracowała przy stanowisku selekcjonerki, kilka kroków od miejsca, w którym Peter przystanął, sugerując, by Andrew już zszedł z dyżuru. Mógłby przysiąc, że wyczuła jego spojrzenie, bo lekko się zaczerwieniła.

Gdy po rozmowie z Peterem ruszył w stronę jej biurka, rozejrzała się, czy nie ma nikogo w pobliżu.

- Masz problem? - zapytała z wysoko podniesioną głową.

- Myślę, że oboje mamy problem - odrzekł. - Ty nie masz?

- Wiem, że mam. Eksmisja to bez wątpienia spory problem.

- Umowa wkrótce wygasa, a jej przedłużenie nie wchodzi w rachubę.

Uniosła brwi, co mogło oznaczać, że jest innego zdania.

- Taka duża posiadłość wymaga pracowników -ciągnął. - Ktoś odpowiedzialny musi też zająć się moją córką. Nie chcę mieć lokatorów



w swoim domu, więc domek pasterzy, który ty teraz zajmujesz, jest mi potrzebny. To nie jest wymierzone przeciwko tobie - dodał.

Wydeła wargi.

- Jasne. Westchnął.

- Naprawdę myślałaś, że to była wycieczka pod twoim adresem, kiedy powiedziałem, że potrzebny mi jest ktoś inny do tego pacjenta z zaburzeniami rytmu serca?

Odwróciła wzrok na jeden z aparatów telefonicznych na biurku, jakby czekała, że ktoś zadzwoni.

- Dałeś mi jasno do zrozumienia, że nie jesteś zachwycony moją obecnością tutaj - rzekła po chwili zastanowienia. - Nadal jesteś przekonany, że to ja wykradałam te narkotyki?

- Nigdy tak nie mówiłem. Uważasz, że tak było? Milczała.

- Powiedziałeś, że nie masz do mnie zaufania.

Tak, użył takich słów. Jako kierownik oddziału odpowiedzialny za jego prawidłowe funkcjonowanie był zmuszony przyjąć takie stanowisko niezależnie od tego, co podpowiadało mu serce.

I chyba w dalszym ciągu nie potrafił jej zaufać. Chciał, ale ona mogła storpedować jego rozpaczliwe starania, by zacząć nowe życie. A to było zbyt cenne, by zdecydował się na takie ryzyko.

Przeniosła na niego wzrok. W jej oczach wyczytał wyzwanie i... nadzieję. Cholera! Nadarza się okazja naprawić zło, które uczynił. Przywrócić jej godność. Wystarczyłoby wyprzeć się braku zaufania.

Miał to na końcu języka, ale się zawahał. I ten ułamek sekundy wystarczył, by potwierdzić tę nieufność. Ale na płaszczyźnie międzyludzkiej, nie zawodowej, więc stać go na szczerą odpowiedź.

Ale zło już się stało. Iskra nadziei w jej oczach zgasła. Alice powstrzymała go gestem dłoni.

- Daj sobie spokój. Nie chcę tego słuchać. - Wyprostowała się. - Pracujemy tu razem i musimy się z tym pogodzić. Podejdźmy do tego profesjonalnie, a sprawy osobiste zostawmy na boku.

To mu odpowiadało.

- Jasne.

- Jeśli masz jakieś zastrzeżenia do mojej pracy na oddziale, nie krępuj się ze mną o tym porozmawiać. Możesz też od razu iść z tym do Petera.

- Nie przewiduję żadnych zastrzeżeń.

- Bardzo mnie to cieszy. - Sięgnęła do słuchawki telefonu, który nagle się rozdzwonił. - Ja też nie przewiduję komplikacji.

Czy naprawdę oczekiwała, że Andrew pogłodzi ją po ramieniu i powie, że nigdy nie uwierzył, że to ona wykradała narkotyki? Że ma do niej zaufanie? Jak mogła się tak łudzić? Bo razem uratowali czyjeś życie? On jest dobrym lekarzem, a ona doświadczoną pielęgniarką. To, że potrafią stworzyć zgrany zespół, nie powinno mieć żadnego związku z tym, co do siebie czują prywatnie.

To ona zachowała się nieprofesjonalnie i sprowadziła sytuację na płaszczyznę osobistą. W przypadku zatrzymania akcji serca dobrze jest mieć do dyspozycji większy zespół. Źle go zrozumiała. I nie tylko. Żeby się bronić, zaatakowała go.

Parę godzin po dyżurze, kiedy nakarmiła Bena oraz Jake'a i zdążyła już odpocząć, aż jej skóra ścierpła, gdy sobie przypominała ton, jakim

odezwwała się do Andrew. Czy nawiązując do przeszłości, doprowadziła do tego, że jej los jest już przesądzony?

Okoliczności były podobne do tych, kiedy Andrew ją zwolnił. Wtedy też na oddziale było wielu poszkodowanych w karambolu na autostradzie, wszyscy dwoili się i troili. Ale pacjent z zatrzymaniem akcji serca nie miał szansy na przeżycie z powodu rozległych obrażeń klatki piersiowej. Wtedy też przyszło jej pracować z Andrew.

Od lat pozostawało dla niej tajemnicą, w jaki sposób ampułka z morfiną znalazła się w jej kieszeni. I dlaczego akurat tego dnia Andrew polecił jej opróżnić kieszenie. W połączeniu z odkryciem, że na jej zmianie ginęły leki, a w jej szafce znaleziono puste ampułki, oznaczało to koniec. Ktoś podrzucał puste opakowania do jej szafki, ale dlaczego akurat tego dnia wsunął jej ampułkę do kieszeni? Mimo że zaklinała się na wszystkie świętości, że to nie ona, wszystkie dowody przemawiały przeciwko niej.

Teraz zaczynała się bać, że dom, który nareszcie znalazła, może okazać się schronieniem tymczasowym. Że nadzieja na pozostanie w nim leży w rękach człowieka, któremu niedawno sama przypomniała, dlaczego jej nie ufa.

Myślenie pozytywne mogłoby być przeciwwagą dla poczucia bezradności. Ale to za mało.

Oddała się codziennym zajęciom, ale działała tak mechanicznie, że zapominała o drobiazgach, na przykład o włączeniu muzyki, gdy gotowała, albo o zapaleniu aromatycznej świecy do kąpielni, a nawet o kubku herbaty, który zazwyczaj jej towarzyszył, gdy zasiadała do komputera, żeby przed snem przeczytać pocztę.

Tym razem czekała ją miła niespodzianka: e-mail od koleżanki z Londynu. Przyda się jej bardzo odrobina wsparcia ze strony osoby, która ją zrozumie.

„Cieszę się, że się odezwałaś”, pisała Pam. Dalej pogratulowała jej sfinalizowania spraw związanych ze spadkiem po babci. „Przyznam, że mnie zamurowało na wieść, że Boski Andy zawitał w twoje dzikie ostępy”.

To przezwisko odebrała jako nieprzyjemny zgrzyt. Tak, Andrew miał opinię podrywacza, ale ona błyskawicznie się zorientowała, że to kobiety się za nim uganiają, ale żadnej z nich nie udało się dopiąć swego. Wyjątkiem okazała się Melissa, energiczna blondyna, którą wyznaczono, by wprowadziła Alice w tajniki pracy w nowym miejscu.

- Daj sobie spokój - rzekła z uśmiechem, przedstawivszy nową pielęgniarkę szefowi oddziału. - On jest mój.

- To prawda - potwierdziła Pam jakiś czas później, gdy Alice się z nią zaprzyjaźniła. - Albo będzie. Miej oczy i uszy otwarte.

Alice z niedowierzaniem obserwowała, jak ten inteligentny człowiek wpada w sidła Meł. Czyżby nie widział, że interesuje ją wyłącznie jako symbol pozycji społecznej oraz gwarant dostatniej przyszłości? Bez wątplenia kiedyś przejrzy jej grę i dostrzeże kobietę, która da mu coś znacznie bardziej ważnego.

Trudno jej było rozstać się z marzeniem, że to ona będzie tą drugą kobietą. Nawet wówczas, gdy Andrew dał jej do zrozumienia, że zamierza dochować wierności swojej wybrance. Pół roku później otrzymała zaproszenie na ich ślub. Melissa wystąpiła wówczas w pięknej sukni, która sprytnie zasłaniała jej wydatny brzuch.

„Wcale się nie dziwię, że przeniósł się na antypody. Myślałam tak samo jak ty, kiedy Mel przychodziła do pracy pokiereszowana, a to posiniaczona, a to ze zwichniętym nadgarstkiem, ale teraz nie wiem, co o tym myśleć. To wszystko razem wzięte wyglądało bardzo paskudnie, kiedy znowu ją przyjęto na ratunkowy”.

To znaczy, że Pam przy tym była. Alice czytała dalej z otwartą buzią.

„Spadła z betonowych schodów. Doznała poważnych obrażeń czaszki. Operowano ją, ale nie odzyskała przytomności. Kilka tygodni leżała na oiomie pod respiratorem. W szpitalu wrzało. Sprawą zajęła się policja. Z powodu wcześniejszych wpisów do jej karty zanosilo się, że komuś zostaną postawione zarzuty. Jeden z sanitariuszy słyszał, jak któryś z policjantów powiedział, że chyba ktoś ją z tych schodów zepchnął”.

Alice wstrzymała oddech. No nie!

Patrzyła nie tylko na to, jak Melissa zastawia sidła na przyszłego męża. Obserwowała również Andrew. Pracowała z nim. Zobaczyła i usłyszała wystarczająco dużo, by zorientować się, dlaczego tak wiele kobiet zabiega o jego względy. Był przystojny, to prawda, ale przede wszystkim był utalentowanym lekarzem, któremu z tego powodu nie przewróciło się w głowie. Chętnie dzielił się swoim czasem i wiedzą.

Był delikatny, czym ujął Alice. Zawsze dokładał wszelkich starań, by pacjent, dorosły czy dziecko, niepotrzebnie nie cierpiał. Umiał podnosić swoich podopiecznych na duchu dobrym słowem, dotykiem lub uśmiechem. Ach, ten uśmiech. To on sprawił, że wbrew sobie się w nim zakochała.

Po raz drugi spotkała się z takim uśmiechem dopiero, kiedy Andrew zjawił się teraz w jej stronach. Zauważyła też, że jego podejście do pa-

cjenta się nie zmieniło. Widziała, jak silna więź łączy go z córeczką. To niemożliwe, by z premedytacją zepchnął swoją żonę ze schodów. Wykluczone.

„Ostatecznej wersji wydarzeń nie znam”, stwierdziła Pam. „Andy’ego zawieszono, jak tylko policja wszczęła dochodzenie, a potem sprawa ucichła. Lekarz policyjny orzekł, że przyczyną zgonu był nieszczęśliwy wypadek, więc nikogo nie postawiono w stan oskarżenia, ale Andy do pracy nie wrócił”.

Dlaczego miałyby wrócić? Alice jak mało kto wiedziała, jak to jest znaleźć się w kręgu podejrzeń. Jak niemożliwe wręcz jest udowodnienie swojej niewinności i oczyszczenie swojego imienia. Jak choćby cień podejrzeń zatruwa całe życie.

Ona wróciła do Nowej Zelandii, żeby zacząć nowe życie, ale Andrew wykazał się większą odwagą, bo przyjechał w nieznane. Jako samotny ojciec, bez rodziny ani grona przyjaciół. Nie chciał żyć z tym piętnem. Co by było, gdyby Emmy przypadkiem się dowiedziała, że jej tata przyczynił się do śmierci mamy? To chyba gorsze od podejrzenia o kradzież narkotyków.

Alice pobieżnie przeczytała dalszy ciąg e-maila, w którym Pam opisywała nowego kierownika oddziału oraz plotkowała, kto z kim się spotyka.

Andrew Barrett ma więcej do stracenia niż ona. Ktoś, kto zna jego przeszłość, stanowi poważne zagrożenie, zawodowe oraz osobiste. Parsknęła tłumionym śmiechem. Nie dość, że biedak musi z nią pracować na swoim nowym oddziale, to jeszcze się okazało, że ona mieszka na jego posesji. Ironia losu.

Mimo stresu związanego z jej własnym trudnym położeniem oraz bólu wynikającego z braku zaufania Andrew, czuła, że powinna podać mu pomocną dłoń.

Pocieszyć go.

Zapewnić, że nie wierzy w te oszczerstwa.

Musi zapanować nad tym odruchem. Okazując, że łoś jego lub jego córki leży jej na sercu, obnaży się jeszcze bardziej. Dlaczego miałyby się tak narażać, skoro on nawet nie jest gotowy podać w wątpliwość jej przewiny?

Jednak nie potrafiła skutecznie stłumić tej reakcji. Była zbyt wstrząśnięta rewelacjami Pam, by jasno myśleć, ale gdyby Andrew wiedział, że ktoś jest po jego stronie, że ma przyjaciela, to chyba nikomu by nie zaszkodziło... Może nawet skłoniłoby go do zmiany decyzji w sprawie domku.

- Nic nie dzieje się bez przyczyny - rzuciła pod adresem Jake'a, który ułożył się na dywaniku przed jej łóżkiem.

Zgasiła lampkę i zapatrzyła się w sufit.

- Może to szalony pomysł, ale czuję, że jest szansa, że z tego może wyniknąć dla mnie coś dobrego.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

- Dzień dobry, doktorze.

- O, Alice. Dzień dobry.

Jej radosny uśmiech go zdeprymował. Nie oczekiwał, że ucieszy się na jego widok. Nim zabrał się do przeglądania sterty dokumentów, którą przed chwilą położyła przed nim na biurku jedna z pielęgniarek, kątem oka podejrzliwie na nią spojrział.

Ale ona była w doskonałym nastroju. Oraz pełna wiary w siebie. Czowała się zdecydowanie lepiej niż poprzedniego dnia, nim przeczytała e-mail od Pam. Najbezpieczniej i najłatwiej będzie postarać się o przychylne gesty. Jest szansa, że odniesie to pożądany skutek. Wierzyła, że Andrew jest dobrym człowiekiem. Nikomu nie będzie z premedytacją utrudniać życia ani wykręcać się od pomocy.

- Piękny był dzisiaj wschód słońca. - Miała okazję go podziwiać, jadąc na dyżur rozpoczynający się o siódmej rano.

- Uhm. - Wybrał plik dokumentów, po czym skierował się pod tablicę, szukając na niej numeru sali pacjenta.

- W tych okolicach najpiękniejszy jest kwiecień -nie rezygnowała. - Poranki bywają jeszcze chłodne, ale potem jest słonecznie i bezwietrznie.

Patrzyła na tył jego głowy, zastanawiając się, czy dalej będzie ją ignorował. To niesprawiedliwe, by mężczyzna miał takie piękne jasne pasemka, podczas gdy tysiące kobiet wydają u fryzjera majątek, aby osiągnąć taki efekt. W dzieciństwie musiał mieć jeszcze jaśniejsze. To



chyba po nim Emmy odziedziczyła odcień włosów, bo Melissa była ciemniejsza.

- Noce w dalszym ciągu są bardzo zimne - brnęła, po czym jak gdyby nigdy nic pochyliła się nad swoim biurkiem w poszukiwaniu skierowania od jednego z lekarzy rodzinnych, które przysłano faksem jeszcze przed przybyciem pacjenta. - To chyba daje się odczuć w twoim wielkim domu.

- Nie zauważyłem - odparł zdawkowym tonem. -Dzisiaj przyjeżdża kominiarz przeczyścić kominy i człowiek z drewnem na opał.

- Na swoim terenie masz za darmo mnóstwo obłamanych konarów pod drzewami! Wszędzie leży pełno gałęzi. Trzeba tylko mieć piłę łańcuchową.

- Słuszna uwaga. - Uśmiechnął się z przymusem. - Dzięki za radę. Wpiszę piłę na listę niezbędnych zakupów.

Szykował się, by odejść z teczką wybranego pacjenta, a ona oczami duszy nagle zobaczyła w jego ręce piłę. Andrew jako urodzony Nowozelandczyk w postrzępionych dżinsach i czarnym podkoszulku. I te napięte mięśnie ramion, gdy szarpie linkę rozrusznika...

Zrobiło się jej sucho w ustach.

- Szyszki - wyrwało się jej. Andrew się odwrócił.

- Słucham?

- Przydadzą ci się też szyszki. To najlepsze na rozpałkę. Najwięcej szyszek jest pod tą kępą drzew, gdzie stoi moja przyczepka dla konia. To zajęcie w sam raz dla Emmy.

Milczał, dając jej do zrozumienia, że nie do niej należy wymyślanie zajęć jego dziecku ani udzielanie mu wskazówek w sprawie piły oraz

rozpalania ognia. Łaska boska, że nie wiedział, jak jej żołądek zareagował, gdy wyobraziła go sobie z tym potężnym sprzętem.

Wiara w siebie to jedno, a wkraczanie na obszar fizycznych atrybutów Andrew Barretta to kompletnie co innego. Alice, nie rób tego, ostrzegał ją głos rozsądku, nawet o tym nie myśl.

Równałoby się to z samozagładą. Najrozsądniej będzie tę znajomość ograniczyć do relacji przyjacielskich. To jej doda pewności siebie, da nadzieję na zatrzymanie tego, co dla niej najważniejsze, uwolni od widma przeprowadzki. Nie wolno jej po raz kolejny się odsłaniać, dopuścić, by ten człowiek przesłonił jej świat.

Z zamyślenia wyrwał ją Peter.

- Alice, na obserwacji brakuje ludzi. Domyślam się, że nie marzysz o niczym innym jak o tym, żeby tam posiedzieć, prawda?

- Oczywiście. - Nie było to jej ulubione stanowisko pracy, ale w tej chwili bardzo pożądane. Z dala od doktora Barretta.

Nic z tego. Wkrótce po tym, jak stawiała się na dyżur, karetka przywiozła ośmioletniego Luke'a z atakiem astmy. Wcześniej chłopiec dobrze reagował na podawane leki przeciwastmatyczne, ale teraz, gdy był w strefie obserwacyjnej, jego stan znowu zaczął się pogarszać. Przechodząc obok łóżka, na którym leżał, usłyszał jego świszczący oddech. Chłopiec oddychał z trudem.

- Twoja mama pojechała po twoją siostrzyczkę do przedszkola?

Luke przytaknął. Miał podejrzenie błyszczące oczy. Jego stan się pogorszył, bo poczuł się opuszczony przez matkę?

- Dodam trochę więcej salbutamolu do nebulizatora - powiedziała.

- I założę ci taki naparstek na palec.

- Podłączyła pulsoksymetr do monitora. - A teraz pójdę po doktora, żeby jeszcze raz cię zbadał.

Lekarz, który rano przyjmował Luke'a, już dawno skończył dyżur. Na jej wezwanie stawił się Andrew.

- Cześć, Luke, jak się masz? - Sięgnął po kartę choroby umieszczoną na poręczy w nogach łóżka.

- Poprzedni atak był między średniosilnym a łagodnym - poinformowała go Alice. - Nasycenie tlenem dziewięćdziesiąt cztery procent. Dobrze reagował na salbutamol.

Ale teraz nie było dobrze. Przyspieszony rytm serca, przyspieszony oddech, gwałtownie opadający poziom tlenu we krwi często zwiastują zapaść oddechową. W każdej chwili sytuacja mogła dramatycznie się pogorszyć.

- Podajmy do nebulizatora ipratropium - odezwał się Andrew opanowanym tonem. Przysiadł na brzegu łóżka i wziął chłopca za rękę. - Muszę znowu cię ukłuć.

- Nie - zaprotestował słabo Luke.

- Przykro mi, ale musimy podać ci nowe lekarstwo, żeby łatwiej było ci oddychać. - Poglądził chudą rączkę.

- Jesteś bardzo dzielny.

Alice podeszła bliżej, by zdjąć chłopcu maskę i uzupełnić leki w zbiorniku nebulizatora. Założywszy mu ją ponownie, pogładziła go po głowie.

- Doktor Barrett jest mistrzem klucia. Nikt nie robi tego tak bezboleśnie jak on.

Andrew pochylił się nad ramieniem chłopca, żeby zaaplikować mu znieczulenie miejscowe.

- To działa super - zapewnił go. - Jak lód w sprayu, którym spryskuje się bolące miejsca, żeby uśmierzyć ból.

Uwadze Alice nie uszło, że poza pojemnikiem ze środkiem znieczulającym resztę sprzętu Andrew postawił poza polem widzenia małego pacjenta. Nagle jak zaczarowany zapatrzył się w kolorowy plakat na ścianie.

- Popatrz na ten plakat - przemówił zdziwionym tonem. - Co ten słoń wyprawia?

Słoń nie robił niczego nadzwyczajnego, ale zanim Luke spojrział na słońca, a potem na Andrew, kaniula już była w jego żyłę. Andrew się uśmiechnął.

- Już po wszystkim. Okropnie było?

Luke pokręcił głową, a Alice zapało dech w piersiach. Ach, ten uśmiech. Taki promienny, rozbrajający. To wyjątkowo źle, że Andrew znowu tak bardzo jej się podoba, ale jeszcze gorzej, że takie ciepło rozlewające się koło serca świadczy o zakochaniu.

Trzymając ramię chłopca, by jakimś gwałtownym ruchem nie wyrwał kaniuli, gdy Andrew przyklejał plaster, czuła, jak zalewa ją fala przerażenia.

To znaczy, że to nie minęło. Dawna fascynacja nie osłabła. Setki razy miała okazję patrzeć na dłonie Andrew, zadbane paznokcie, maleńką bliznę na palcu wskazującym. Niemal czuła na sobie ich dotyk. To już nie jest żar rozniecony z popiołu, to płomień, który nigdy nie zgaś.

- Prednisolon doustnie. - Podniósł na nią wzrok.

I nagle zamrugał, a ona struchlała w obawie, że poznał jej myśli, że widzi, co dzieje się w jej sercu.

- Dwa miligramy na kilogram. - Kaszlnął. –I miej w gotowości hydrokortyzon. Skonsultuję się z pediatrą. - Wyszedł do telefonu.

Przytaknęła. Dobrze, że ma zajęcie. Andrew zapomni, co zobaczył w jej oczach, a ona od tej pory musi zrobić wszystko, żeby wspiąć się na szczyty profesjonalizmu, żeby taka sytuacja się nie powtórzyła.

Znała najgorszy scenariusz. Była na to przygotowana. Jeśli okaże się to konieczne, zrezygnuje z wszelkich kontaktów. Może nawet rozważy możliwość przeniesienia na inny oddział. Prawdopodobnie tę niechcianą reakcję spowodowało nieoczekiwane ponowne wtargnięcie tego mężczyzny w jej życie. Przejdzie jej. Jak kiedyś.

Atak astmy ustępował, ale mimo to Luke'a przewieziono na oddział dziecięcy, więc przez resztę dyżuru Alice prowadziła pacjentów na badania specjalistyczne, towarzyszyła pracownikom społecznym w ich rozmowach z rodzinami, a nawet zadeklarowała swoją pomoc przy sprzątaniu śluzy, czego wszyscy starali się unikać.

Strategia ta okazała się skuteczna. Nie widziała Andrew do końca dyżuru, do piętnastej. Udałoby się jej niepostrzeżenie wymknąć do domu, gdyby nie stanął na jej drodze.

- Alice, masz chwilę czasu?

- Nie bardzo. Jadę do domu.

- Spieszysz się?

- Owszem. Dzień jest piękny, więc chcę się przejechać na Benie, nim zrobi się ciemno.

- Przejechać się na Benie?

Powoli pokiwała głową.

- Na moim koniu. Widziałeś go, nie pamiętasz? Ten czarny potwór.

Potrząsnął głową, jakby chciał poukładać sobie myśli.

- Emmy powiedziała, że on się nazywa Zegar.

- On się nazywa Big Ben. - Uśmiechnęła się szeroko. - Jak ten zegar w Londynie.

- Aha...

Ledwie się uśmiechnął. Sprawiał wrażenie, jakby z premedytacją nie chciał okazać zadowolenia. Alice uważnie mu się przyjrzała: Andrew z wyraźną ulgą przyjął wiadomość, że Ben jest koniem!

Dlaczego?

Zrobiło się jej ciepło koło serca, bo wydawało się jej, że w jego oczach dostrzegła iskierkę sympatii. Ale to tylko bezwiedna reakcja. Nie, on jej nie ufa i niczego więcej nie należy oczekiwać.

To dla niej o wiele groźniejsze, bo jeśli znowu się zaangażuje, ma więcej do stracenia niż on.

Pchał wielką pomarańczową taczkę, w której siedziała Emmy, kurczowo trzymając się jej brzegów i podskakując na nierównościach.

- Tato, pędzej!

- Nie, bo wypadniesz.

- Nie wypadnę.

- Ale możesz. Poza tym już jesteśmy na miejscu. Popatrz, ile tu szyszek. Nic tylko zbierać.

- Ooo... - Emmy wygramoliła się z taczki. - Napalimy w kominku?

- Oczywiście. Przecież w drodze do domu kupiliśmy pianki do pieczenia na patyku.

- Najbardziej lubię te różowe. - Emmy ze śmiertelną powagą wrzuciła pierwszą wielką szyszkę do taczki.

Żeby ukryć uśmiech, Andrew pochylił się nad kolejnymi szyszkami. Szybko się z tym uwiniemy, pomyślał. To dobrze, bo zbliża się osiemnasta i niedługo zrobi się ciemno. Kominiarz oczyścił kominy, a za domem czekał okazały stos drewna opałowego. Dzięki szyszkom błyskawicznie rozpalił ogień w kominku, żeby ogrzać pokój w ten chłodny jesienny wieczór. Potem zajmie się kolacją.

Wrzuciwszy ostatnie szyszki, wyprostował się, by popatrzeć na płową główkę Emmy na tle ciemnych pni drzew. Przykucnięta grzebała patykiem w ziemi, zapominając o rozpałce. Nie szkodzi. Osiedlił się tu właśnie dla takich wspólnych przygód i chwil z dzieckiem, Emmy bardzo to odpowiadało.

Tak jak przewidywała Alice.

Wcale nie chciał o niej myśleć, ale przypominała mu o niej zaparkowana nieopodal przyczepka dla konia. Wystarczyło się odwrócić, żeby zobaczyć jej domek. A nawet samą Alice, która akurat rozwieszała pranie na sznurze rozpiętym między dwoma drzewami.

- Emmy, co robisz?

- Znalazłam robaka. Takiego dużego, czarnego i błyszczącego.

- Zbieraj szyszki, bo musimy skończyć.

- Zaraz.

- Teraz, skarbie, bo nie zdążymy upiec pianek na kolację.

- Oj, dobrze! - Podbiegła do niego z jedną szyszką. - Tato, zobacz!

Tam jest Alice!

- No jest.

- Mogę do niej pójść i poprosić, żeby pozwoliła mi pogłodzić konia?

- Nie dzisiaj.

- A kiedy?

- Alice jest zajęta, nie widzisz? Wiesza pranie.

- To ty ją zapytaj, kiedy nie będzie zajęta i kiedy znowu będę mogła wsiąść na jej konia. Powiedziała, że jak mi pozwolisz. Tato, proszę... -  
W jej oczach było błaganie.

Nie mógł na to patrzeć.

- Dobrze, zapytam.

- Teraz.

- Nie teraz. Musimy zbierać szyszki.

- To ja nazbieram górę szyszek, a ty idź do niej i ją zapytaj. Proszę...  
Westchnął.

- Okej. Ale nigdzie nie odchodź. I zbieraj szyszki.

- Przepraszam, że cię nachodzę...

O matko! Ze też właściciel posiadłości musi składać jej wizytę, akurat gdy ona jest w brudnych spodniach do konnej jazdy, kaloszach i rozciągniętym swetrze, a na dodatek rozwiesza bieliznę? Całe szczęście, że to jej najlepsza para majtek, z ładną koronką.

Spojrzał na to, co trzymała w ręce, a gdy się zorientował, co to jest, chyba się speszył.

- Hm... - Odchrząknął, odwracając wzrok.

- Już kończę. - Sięgnęła po ostatnią sztukę w koszyku. Kurczę, koronkowy biustonosz! Do kompletu z majtkami. Również Andrew wpatrywał się w koszyk. Jeśli zostawi biustonosz w koszyku, Andrew się połapie, że się zawstydzila i nie daj Boże domyśli przyczyny, a przecież bardzo zależy jej na tym, żeby się z tym nie zdradzić.



Nic trudnego, wystarczy takie samo podejście jak do czynności, które mogą być krępujące dla pacjenta. Należy zdobyć się na dystans oraz profesjonalizm. Jakby w ogóle tym się nie przejmowała.

- Zdaję sobie sprawę, że to absurdalna pora na wieszanie prania - powiedziała, sięgając po klamerkę

- ale wyjeżdżam do pracy o szóstej, a wtedy jeszcze jest; ciemno.

- Do miasta jest spory kawałek. Dlaczego wybrałaś miejsce tak odległe?

- Kupiłeś tę posiadłość, nawet jej nie oglądając.

- Wysłałem tu pośrednika.

- I to ci wystarczyło?

- Muszę przyznać, że zdjęcia były bardzo zachęcające. *i*

- Hm... - Podniosła z ziemi długą tyczkę, by przeciąć sznur. I wówczas zniknęła jedyna granica między nimi. - Nie dziwię się, że uległeś czarowi tego miejsca

- domyśliła się. - A ja odwiedzałam tu Mandy i od; pierwszej wizyty po prostu zakochałam się w tej okolicy. \

Kurczę, dlaczego musiała posłużyć się tą frazą? To za mało powiedziane, nawet gdyby chciała mu wyjaśnić,! dlaczego tak bardzo zależy jej na tym, by tu zostać.

Odwróciła wzrok, by nie powiedzieć niczego bardziej osobistego, i dostrzegła Emmy. Pomachała jej. Jake, który do tej pory warował przy puszcze z klamerkami, wstał i leniwym krokiem ruszył w stronę dziewczynki, przyjaźnie machając ogonem.

- Widzę, że macie już spory zapas szyszek. Andrew przeniósł spojrzenie na Emmy.

- Twój pies nie skrzywdzi dziecka?

- Na pewno nie. Andrew ściągnął brwi.

- Emmy mnie tu wysłała - oznajmił. - Uparła się, że musi odwiedzić twojego konia.

- Bena.

- Tak... Bena. - Nie patrzył jej w oczy. Może się zawstydził? Ale trwało to ułamek sekundy, a gdy na nią zerknął, zapomniała o dystansie i profesjonalizmie. Ten kontakt wzrokowy trwał moment za długo. Na tyle długo, by w powietrzu zawisły pytania obu stron. Pytania, których ona wolała nie zadawać, nie chciała też udzielać odpowiedzi. Musi w jakiś sposób narzucić dystans.

- A ty nie chcesz się na to zgodzić.

- Co takiego? - Sprawiał wrażenie rozkojarzonego.

- Nie chcesz, żeby Emmy odwiedziła Bena.

- Nie, nie chcę.

- Bo uważasz, że on jest niebezpieczny? Zapewniam cię, że to bardzo łagodne zwierzę.

- Nie o to chodzi. - Kręcił głową.

- A o co?

Odwrócił wzrok w stronę pełnej szyszek taczki. Obok siedziała Emmy, obejmując Jake'a. Zapadł już zmrok, toteż z tej odległości było widać praktycznie tylko aureolę jej jasnych włosów.

- Jak sama widzisz, Emmy łatwo się przywiązuje. Kocha zwierzaki i... - Chyba miał Alice za złe. -I mam wrażenie, że bardzo cię lubi. Ubzdurała sobie, że jesteś królowną.

- Emmy jest słodka. - Uśmiechnęła się, ale on nie odwzajemnił jej uśmiechu.

- Twoja umowa wygasa za trzy tygodnie i wtedy stąd wyjedziesz, może nawet przed tym terminem. Nie chcę, żeby Emmy rozpaczała z powodu twojego zniknięcia, a im bardziej poczuje się związana z tobą i twoimi zwierzakami, tym bardziej będzie rozpaczała.

Znał imiona jej czworonożnych przyjaciół. Specjalnie nazwał je „zwierzakami”.

Andrew chce, żeby opuściła domek przed datą wygaśnięcia umowy? Czy zmieniłby oczekiwania, gdyby dowiedział się, jak trudno znaleźć nowe miejsce w przystępnej cenie, nie wspominając o tym, jak wielką rewolucję w jej życiu by to oznaczało?

Nie, jego to nie obchodzi, nawet jeśli to rozumie. Może jest cierpliwy i delikatny wobec pacjentów, ale przyjacielskie gesty są mu obce.

Westchnęła. Gdyby potrafiła go znienawidzić, bez problemu znalazłaby w sobie siłę, by zerwać z tym, co ją z nim łączy. Uciekłaby. Znalazłaby nowy dom i szpitalny oddział. Może nawet w innym mieście, bez względu na to, jak trudno byłoby po raz kolejny zaczynać od nowa.

Smutek, który już powoli ją ogarniał, obudził w niej odruch walki, choćby tylko po to, by bronić swoich „zwierząt”.

- Potrzebuję więcej niż trzy tygodnie - oświadczyła. - Bo bardzo trudno znaleźć dom do wynajęcia, w którym wolno trzymać konia oraz psa.

- Przykro mi, ale to nie mój problem. - Z wielkim zainteresowaniem wpatrywał się w jej kalosze. - Już ci wyjaśniałem, po co mi ten dom. Muszę jak najszybciej znaleźć opiekunkę dla Emmy. Wczoraj spóźniłem się do pracy i nie chcę, żeby taka sytuacja się powtórzyła. Nie mogę oczekiwać od kolegów, że będą to tolerowali.

Gdy w końcu podniósł na nią wzrok, była w nich taka pustka jak tego dnia, gdy po raz pierwszy zobaczył ją na oddziale. Stara się jak najbardziej zdystansować, pomyślała. I jej problemy nie wpłyną na jego decyzję w tej sprawie.

Beznadziejna sytuacja. Tym bardziej, że już się odwrócił. Rozmowa skończona. Podobnie jak jej dotychczasowe życie.

- Jasne, nie możesz tego oczekiwać. - Przerazona perspektywą na przyszłość, nie bardzo wiedziała, co mówi. - Podobnie jak i tego, żeby twoi nowi koledzy się dowiedzieli, dlaczego tu się przeprowadziłeś.

Powoli odwrócił się w jej stronę. Mimo że zapadał zmierzch, dostrzegła, że zbladł.

Nie musiał nic mówić. Wróciły koszmarnie podejrzenia, którym kiedyś musiał stawiać czoło. Dotarło do niego, że Alice też o nich słyszała i że jeśli zechce, może zacząć rzucać mu kłody pod nogi.

Powinna być to dla niej chwila triumfu, radości z takiego zachwiania równowagi sił, ale ona poczuła się... zażenowana. Jak mogła powiedzieć coś takiego?! Chciała odwołać te słowa, przyznać, że tamte oskarżenia były absurdalne, że w nie nigdy nie wierzyła.

Ze nawet jeśli pozbawi ją dachu nad głową i będzie utrudniał jej pracę, ona nigdy nie zniży się do rozprowadzania tych plotek. Wręcz przeciwnie, zawsze będzie go bronić.

Tak jak do tej pory.

To się w głowie nie mieści. Historia się powtarza.

Szantaż. Znowu szantażuje go kobieta. Chryste, czy one wszystkie są takie same? Uważają, że cel uświęca środki? Powinien już był się nauczyć, że kobiecie nie wolno zaufać.

„Andy, jestem w ciąży. Musisz się ze mną ożenić”.

„Jak ze mną nie zostaniesz, nigdy nie pójde na odwyk”.

„Milcz, bo zabiorę ci dziecko i już nigdy jej nie zobaczysz”.

Zalała go fala złości. Rozpaczliwie szukając słów, żeby powiedzieć Alice, co myśli o niej i jej pogroźkach, zacisnął pięści. Zobaczył, jak odetchnęła głębiej i otworzyła usta, ale nagle wyraz jej twarzy się zmienił, ustępując miejsca strachowi.

Kurczę, przyszło jej do głowy, że zamierza ją uderzyć? Rozluźnił palce z zamiarem dotknięcia jej, chciał ją przeprosić, zrobić wszystko, byle strach zniknął z jej oczu. Ale ona nie patrzyła na niego. Cofnęła się o krok.

- Jake! Co się stało?

Dopiero teraz usłyszał dobiegające z oddali poszczekiwanie. Całą serię natarczywych szczęknięć.

Przeniósł wzrok na kepe drzew oraz taczkę, gdzie po raz ostatni widzieli Jake'a i jego córeczkę.

- Gdzie jest Emmy? - jęknął głucho.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

W ciężkich kaloszach trudno biec.

W pewnej chwili Andrew ją wyprzedził, ale nie zauważył króliczej nory, wpadł w nią i runął jak długi. Alice tymczasem biegła dalej w stronę, skąd docierało do nich ujadanie Jake'a. Wiedziała, co tam jest.

Rzeka.

I jej głębokie zakole ukryte pod wierzbami. W trakcie minionego upalnego lata Alice często chodziła tam popływać.

Jake stał na płyciźnie pośrodku rzeki. Przestał szczekać. Dopiero po chwili, z mniejszej odległości, zorientowała się dlaczego. Bo zaciskał szczęki na ubraniu drobnej postaci, która leżała na wodzie.

O Boże! Alice szła po oślizłych kamieniach na środek rzeki, raz po raz chwiejąc się i zataczając.

Za późno!

Prąd okazał się zbyt silny, więc teraz Jake skakał po wodzie, goniąc bezwładne ciało Emmy niesione w stronę zakola. Alice podążała za nimi. W pewnej chwili poczuła, że traci grunt pod nogami. Jake już płynął. Gdyby nie to, że krążył wokół jednego miejsca, gdy głowa Emmy nagle zniknęła pod wodą, nie wiedziałyby, gdzie zanurkować.

Unoszące się na wodzie zwisające gałęzie wierzby, pod którymi panowała absolutna ciemność, z jednej strony przeszkadzały znaleźć dziecko, z drugiej w każdej chwili mogły je oplatać i błyskawicznie wciągnąć na dno.

Jakimś cudem udało się jej rozgarnąć liściastą sieć i zanurkować, a moment później wyplątać i pochwycić dziewczynkę. Kurczowo trzymając ją w objęciach, rozpaczliwie biła nogami wodę, żeby się wynurzyć. Potem, dopłynąwszy na płyciznę, stanęła na twardym gruncie, a tam objęły je silne męskie ramiona i wyprowadziły na brzeg. Emanująca z nich siła dała jej takie poczucie bezpieczeństwa, że aż zabrakło jej tchu.

A może wstrzymywała oddech od chwili, kiedy zanurkowała? To wszystko stało się tak szybko. Teraz Andrew przejął od niej przemożone ciało.

Boże, czy Emmy jeszcze oddycha?

Tak. I nie tylko oddycha. Szłocha wtulona w pierś ojca i trzyma go tak mocno za szyję, że mało go nie udusi.

— Cii, maleńka... Już dobrze, już dobrze... - szeptał Andrew przez ściśnięte gardło.

Alice łązy zapiekły pod powiekami. Niejeden rodzic w takiej dramatycznej sytuacji skrzyczałby dziecko, robiłby mu wyrzuty. Zwłaszcza gdyby stawką było jego życie. Ale w głosie Andrew nie było złości, lecz sama troska.

Ta mała jest dla niego wszystkim, pomyślała Alice. Bez wahania zaryzykowałby życie. Ale gdyby nie Jake, ta scena mogłaby wyglądać inaczej.

Alice zaczęła drzeć. Było jej zimno, to oczywiste, ale w dużej mierze była to reakcja na świadomość, że byli o krok od tragedii. Jake jest bohaterem! Gdy na niego popatrzyła, akurat otrząsał długą sierść z wody. Podniósł spojrzenie na swoją panią i powoli zamachał ogonem.

Nikt nie widział jej łez, bo ociekała wodą. Przykucnęła obok Jake'a, by go przytulić. Andrew rozpiął kurtkę, żeby okryć Emmy, ale patrzył na nich.

- Jake... - Zacisnął powieki, walcząc z emocjami. Nie musiał nic mówić, bo ona go rozumiała.

Co więcej, czuła się po części odpowiedzialna za to, że Emmy zbyt długo pozostawała bez opieki. To jej podłe pogrożki odwróciły uwagę Andrew.

Szczękała zębami tak głośno, że nie mogła mówić.

- Z...zabierz... Em...my... do... do...mu...

- Chodź z nami. Rozpalę w kominku. Gorąca zupa...

- N...nie. - Pokręciła głową. Napaliła w kozie, zanim zaczęła wieszać pranie, więc u niej już jest ciepło.

W suszarni ma stertę czystych ręczników, którymi wytrze Jake'a, czekając, aż jej wanna napełni się gorącą wodą. Na razie jednak wszyscy muszą się ruszyć, bo zanoszą się na przymrozek.

Bez słowa skierowali się w stronę zabudowań. Emmy przestała płakać. Jej głowa ledwie wystawała spod ciepłej kurtki Andrew, który cały czas do niej przemawiał, idąc tak szybko, że Alice i Jake zostali w tyle.

Nawet chyba nie zauważył, kiedy skręciła do swojego domku. Szedł długimi krokami, niosąc swój bezcenny ciężar, skupiony na tym, by jak najprędzej donieść go do domu. Dobrze. To zrozumiałe. Bez wątplenia podziękuje jej, gdy jutro spotkają się na oddziale. Może nawet z wdzięczności da jej trochę więcej czasu na szukanie nowego lokum.

Albo nie da. Było dla niej oczywiste, że potrzebuje stałej opiekunki do Emmy, dopóki mała nie pozna granic zachowań dopuszczalnych w nowym i ekscytującym otoczeniu.



Była przemarznięta do szpiku kości, toteż ledwie zakręciła kurki nad wanną. Palce tak jej zgrabiały, że z trudem się rozbierała. Na dodatek do tego stopnia opadła z sił, że nie była w stanie zdjąć przemoczonych obcisłych bryczesów, bo zrolowane zatrzymały się jej na kostkach, aż musiała usiąść na podłodze. Za każdą próbą zsunięcia nogawki z pięty, palce odmawiały jej posłuszeństwa albo ból ramion tak się nasilał, że kapitulowała.

Jake wygrzewał się na macie przed piecykiem, więc znalazła się w łazience sama. Sama w małym domku.

Co będzie, jeżeli nie uda się jej zdjąć tych cholernych bryczesów, a będzie coraz słabsza na skutek wychłodzenia? Gdyby spróbowała wyjść z kąpieli, mogłaby upaść, uderzając głową o krawędź wanny. Wtedy do wyczerpania i wychłodzenia dołączyłby uraz głowy i mogłaby umrzeć!

Sama.

Kiedy Andrew pofatyguje się do jej domku, żeby zainteresować się, dlaczego zniknęła? Być może za trzy tygodnie. W dniu, w którym wygasa jej umowa.

Ogromnym wysiłkiem woli powstrzymała Izy. Nie przyszło jej to łatwo.

- Nie wygłupiaj się - mruknęła.

Oparła jedną stopę o drugą, sama plecami przyłgnęła do ściany i zaczęła ciągnąć z całych sił. I jeszcze raz. Udało się oswobodzić obie stopy. Zdecydowanie łatwiej poszło jej z nasiąkniętymi wodą wełnianymi skarpetami oraz resztą ubrania, pomijając nerwową szamotaninę z haftkami biustonosza. W końcu zanurzyła się w gorącej kąpieli.

Początkowo z powodu różnicy temperatur piekła ją cała skóra, ale już po kilku minutach rozkoszne ciepło zaczęło powoli rozchodzić się po całym ciele. Jakiś czas później poczuła, jak rozgrzewa się szpik w kościach i wraca sprawność placów. Mogła już otworzyć butelkę z szamponem. Żeby opłukać włosy, zanurzyła się z głową.

Dopiero teraz powoli się rozprężała po dramatycznych przeżyciach, upajając się ciepłem i migdałowym zapachem szamponu. Nic złego się jej nie stało, jest bezpieczna. Emmy, dzięki Bogu, podobnie.

Przypomniała sobie tych kilka chwil, kiedy wraz z Emmy znalazła się w żelaznych objęciach Andrew. To dało jej pojęcie o tym, jak to jest być tak... kochanym.

Znowu miała ochotę się rozplakać. Co się z nią dzieje? Alice Palmer nie mdleje w dramatycznych sytuacjach. I nigdy nie płacze. Zawsze bierze z życia to, co jej daje najlepszego, i idzie dalej. Nauczyła się tego już we wczesnym dzieciństwie, kiedy osierocili ją rodzice i przekazano ją najpierw opiece babci, a potem szkół z internatem. Zmieniała znajomych, miejsca pracy i mieszkania, jeśli się nie sprawdziły, więc skąd teraz ten niepokój?

Co jest źródłem tego smutku?

To, że nigdy nie była kochana tak, jak Andrew kocha Emmy? Tak, przyznała w duchu. Okej, do tej pory tego nie doświadczyła, ale na pewno jest gdzieś ktoś, kto pewnego dnia tak ją pokocha. Ktoś, kto będzie jej ufał, dbał o nią i ją chronił... i będzie blisko, gdy zapłacze się w spodnie i uderzy głową w krawędź wanny!

Zła na siebie, że sama tak się dołuje, wyciągnęła korek i wyszła z wanny. Wytarła się, osuszyła lekko włosy, po czym ubrała się w najcieplejszą piżamę, jaką miała. Granatową w żółte gwiazdki i księżycy.

Flanelowy prezent od babci. Nie miała szlafroka, więc otulona babciną szydełkowaną chustą usiadła przed piecykiem, żeby wczesać odżywkę we włosy.

To długie i nudne zajęcie, ale konieczne, jak się ma takie loki. Muzolne rozczesywanie splątanych włosów, które sięgały jej niemal do pasa, podziało na nią niemal hipnotyzująco. Straciła poczucie czasu.

Nie zauważyła, jak długo siedzi przed piecykiem ani kiedy grzebień wypadł jej z rąk. Ani kiedy bezwiednie oplotła się ramionami, żeby przypomnieć sobie tamto doznanie. Tę jedną chwilę.

Pragnienie nie tylko bycia kochaną tak bardzo, ale kochaną przez kogoś takiego jak Andrew.

Nie, przez niego samego.

Marzenia to silny narkotyk. I odurzający. Do tego stopnia, że gdy Jake podniósł kudłaty łeb i warknął, zerwała się na równe nogi, zapominając, że mieszka w bardzo bezpiecznej okolicy. Grzebień zsunął się na podłogę, a za nim babcina chusta. Z bijącym sercem słuchała, jak ktoś dobija się do drzwi.

- Jake, leż - uspokajała psa. - Wiem, kto to jest. O tej porze na tym odludziu mogła to być tylko jedna osoba. Ale co go sprowadza? Czy coś stało się Emmy? Negatywne skutki niefortunnej kąpieli? Zachłystowe zapalenie płuc?

Gdy otworzyła drzwi, do środka wpadło mroźne powietrze. Na progu stał nieco zadyszany mężczyzna.

- O co chodzi? Coś się stało?

- Nie, nic. - Obłoczki pary buchały mu z ust.

- Biegłeś.

- Nie chcę na długo zostawiać jej samej.

- Dobrze się czuje?

- Bardzo dobrze. Śpi jak kamień. - W ręce trzymał elektroniczną nianię. - Jestem w zasięgu, więc ją usłyszę, a to tylko półtorej minuty...

- Ale... dlaczego?

- Musiałem tu przyjść. - Był w kurtce, ale nie miał rękawiczek. Zacieriał dłonie. Alice nagle poczuła, jak mroźne powietrze liże jej stopy.

- Wejdz, zapraszam do środka.

Zawahał się zapatrzony w jej rozpuszczone, jeszcze trochę wilgotne włosy. Potem przeniósł wzrok na jej bose stopy, więc nie mógł nie zauważyć pizamy.

- Przepraszam, nie pomyślałem, że już szykujesz się do spania.

- Daleko do tego. - Było jej głupio, że się czerwieni.

- Nawet jeszcze nie jadłam kolacji. Wejdz, muszę zamknąć drzwi, bo zrobi się tu lodownia.

Gdy znalazł się w pokoju, Jake zmierzył go podejrzliwym spojrzeniem.

- Przyszedłem, żeby ci podziękować - wyjaśnił. - I Jake'owi.

Zerknął na psa przyklejonego do jej nogi, po czym ku jej zaskoczeniu przykucnął przy nim.

- Uratowałeś moją Emmy - przemówił do Jake'a. - Jesteś najwspanialszym psem na całym świecie. Jake popatrzył najpierw na Alice, potem na Andrew, po czym machnął ogonem. Gdy Andrew wyciągnął do niego rękę, starannie ją obwąchał, jeszcze raz machnął ogonem, odsunął się od Alice, a chwilę później podsunął mu łeb, pozwalając podrapać się za uszami.

Zrobiło jej się chłodno, więc podeszła bliżej pieca, zerkając na leżący na podłodze szal, ale uznała, że kosmiczna piżama wystarczająco ją kompromituje, i nie należy dodawać do tego pstrokatej chusty.

- Tobie też należą się moje podziękowania. - Wyprostował się, podszedł do niej i podał jej dłoń. - To ty wyciągnęłaś z wody moje dziecko.

Uścisk dłoni? Dziwnie się poczuła, ale Andrew nie poprzestał na uścisku. Ujął jej rękę i nakrył drugą dłonią.

- Nie potrafię wyrazić, jak bardzo jestem ci wdzięczny.

Słowa były zbędne, bo ona to czuła. Odebrała to jak namiastkę tamtego uścisku jego ramion. Czuła też, że rumieni się na to wspomnienie.

Nie była na siłach spojrzeć mu w oczy, przygnieciona bezmiarem tęsknoty, która ją ogarnęła. Musiała przerwać kontakt wzrokowy. Odwrócić głowę i cofnąć rękę.

- Nic nie mów - wykrztusiła. - Rozumiem. - Odetchnęła głębiej. - To ja powinnam cię przeprosić. Nie doszłoby do tego, gdybym nie powiedziała tego, co powiedziałam...

- O nie - wszedł jej w słowo. - To ja... Pokręciła głową w przekonaniu, że musi dokończyć myśl.

- Nie zrobię tego. Byłam zdenerwowana, ale nienawidzę plotek, nawet jeśli jest w nich ziarno prawdy. Nigdy, przenigdy nie rozgłaszam plotek.

Gdy odważyła się przenieść na niego spojrzenie, sprawiał wrażenie zdziwionego. Jakby nie rozumiał, o co jej chodzi. Wpatrywał się w nią przenikliwie.

- Dziękuję - wycedził. - Ze swojej strony powiem, że nigdy nie wierzyłem, że to ty podbierałaś leki, ale...

Wyraźnie szukał słów. Niepotrzebnie, bo ona nie miała wątpliwości, że jego słowa popłynęły z głębi serca, czuła też, że brzemień braku zaufania zsuwa się z jej ramion.

- Postąpiłeś tak, jak wtedy od ciebie oczekiwano. Ja to rozumiem.

To chyba mu nie wystarczyło, bo ściągnął brwi. Otworzył usta, ale w tej samej chwili odezwał się odbiornik w jego ręce. Zastygli w bezruchu, bo usłyszeli cichy płacz i niezrozumiałe słowa.

- Emmy mówi przez sen - wyjaśnił.

- Chyba powinieneś wracać. Na wypadek gdyby się obudziła.

Przytaknął, ale gdy otworzyła drzwi, wyraźnie się zawahał. Tak jak wtedy, gdy przyszedł do niej. Chyba chciał coś jeszcze powiedzieć, ale tylko skinął głową, po czym zniknął w ciemnościach.

Rano warkocz był na swoim miejscu, ale Andrew patrzył na Alice, nie mogąc przestać myśleć o rozpuszczonych kasztanowych włosach z miedzianym połyskiem spływających z jej ramion poprzedniego wieczoru. Łudził się, że przyszło mu to do głowy, ponieważ skupiał się na włosach pacjenta.

Siedmioletni Sean wjechał na rowerze pod konary drzewa i poważnie rozharatał sobie skórę na głowie.

Zamiast na zakładanie szwów, Andrew zdecydował się na związanie włosów.

- Alice, poproszę klej.

Podeszła bliżej, żeby umieścić kroplę specjalnego kleju na supełku z włosów.

- Sean, jesteś bardzo dzielny - pochwaliła chłopca.

Przygryzła wargę, spoglądając na Andrew. - Nie włożyłeś rękawiczek - zauważyła.

- Już nie krwawi. - Zawiązywał kolejny supełek. - Poza tym w rękawiczkach nie potrafię wiązać takich subtelnych węzłów. Nie mam wtedy czucia w palcach.

Wzmianka o czuciu w palcach sprawiła, że zaczął się zastanawiać, czy włosy Alice są tak samo miękkie i jedwabiste jak włosy tego urwisa. Nie, nie chciał wiązać ich w mikroskopijne supełki. Za to mógłby zanurzyć w nich palce, żeby przyciągnąć jej głowę i ją całować.

- Czy to będzie bolało?

- Słucham? - To, o czym pomyślał, na pewno nie boli. Wręcz przeciwnie.

- Jak będzie się czesał - uściśliła zaniepokojona matka chłopca.

- Musi uważać, żeby nie zahaczać grzebieniem o supełki. I proszę przez pięć dni nie myć mu włosów, a potem zbyt energicznie nie wcierać szamponu. Jeżeli przetrwają dziesięć dni, można je obciąć.

- Dostanę bandaż? - zapytał chłopiec.

- Nie trzeba - odpowiedziała Alice. - Dostałeś specjalny klej. Jak superglue.

- Mam sklejoną głowę? Rewelacja!

- Możesz w szkole wszystkim się tym pochwalić

- dodał Andrew. - Nie boli cię głowa?

- Nie, dobrze się czuję. Będę mógł potem jeździć na rowerze?

- Tak, ale teraz już zawsze w kasku - odpowiedziała matka, ciężko wzdychając. - Zgodnie z przepisami.

Chłopiec popatrzył pytająco na Andrew.

- Mama ma rację. Musisz na siebie uważać, młody człowieku. I oszczędzać mamie takich przeżyć.

Alice pokiwała głową. Widziała, jak ta kobieta, blada jak płótno, wprowadzała syna do kabiny, ciągle trzymając zakrwawiony ręcznik na jego głowie.

Gdy chłopiec i jego matka wyszli, rzuciła Andrew spojrzenie, bez słów przekazując mu, że Emmy jest teraz bezpieczna. Że nie musi się o nią martwić.

Zapamiętał to, przyjmując kolejnego pacjenta. Tak, Emmy jest bezpieczna, ale on nie potrafi zapomnieć, jak bez chwili wahania zareagowała Alice: rzuciła się do rzeki, by ratować jego dziecko. Czytała w jego myślach również wtedy, gdy opatrywał Seana. Zmartwiał na ułamek sekundy, wyobrażając sobie, co mogło się wydarzyć.

Koszmarne myśli nie dawały mu spać przez całą noc. One oraz emocje, które obudziły w nim przeprosiny Alice.

Spokorniał... Nie, ona go zawstydziła.

Miał minutę, może dwie na przejście do pacjentki z bólem w jamie brzusznej, którą umieszczono już w sektorze obserwacyjnym, ale wymagającej ponownego zbadania, co dało mu czas na zastanowienie się nad uzasadnieniem swoich poczynań.

Okej, powiedział, że nigdy nie wierzył, że to ona wykradała narkotyki, to dobrze, ale nie przeszło mu przez usta, że był przekonany o jej niewinności.

Miał zamiar to powiedzieć, ale mu nie wyszło.

Zrobi wszystko, co w jego mocy, by nikt nie traktował Emmy gorzej, ponieważ jej matka była narkomanką. Absolutnie nikt. Instynkt odpowiadał mu, że dla Alice nie miałyby to najmniejszego znaczenia, ale



nie miał na to gwarancji. Nie miał stuprocentowej pewności, że Alice nikomu o tym nie powie. Mimo że ryzyko było minimalne, nie zamierzał go podejmować.

Historia pod wieloma aspektami zatoczyła koło. Brak opieki dla Emmy, szantaż ze strony kobiety, jego postępowanie, do którego zmuszało go stanowisko. Nie stanął w obronie niewinności Alice, gdy podejrzewano ją o wykradanie narkotyków, bo jednak brał pod uwagę możliwość pomyłki. Z tego samego powodu teraz nie o wszystkim jej opowiedział. Teraz chronił Emmy.

Alice by to zrozumiała, ale dlaczego miałyby zatrzymać to dla siebie? Zobowiązał cały personel zaangażowany w leczenie Melissy do absolutnej dyskrecji, a szpitalne dokumenty zostały już oficjalnie zniszczone.

Ten temat nie powinien wydostać się na światło dzienne, ponieważ jemu w takim samym stopniu jak Alice zależy na odcięciu się od pogłosek i przeszłości. Teraz połączyło ich coś nowego: Emmy. Zanosilo się na to, że ta więź będzie się zacieśniać.

Wczesnym popołudniem musiał zająć się motocyklistą z urazem głowy. Nie mogąc odejść od jego łóżka, był zmuszony poprosić Alice, żeby odebrała pilny telefon.

Wróciła, gdy lekarze odsunęli się od pacjenta, aby umożliwić technikowi wykonanie zdjęć rentgenowskich kręgosłupa szyjnego, klatki piersiowej i miednicy.

- Dzwonili ze świetlicy w szkole Emmy - poinformowała go, korzystając z tej chwili przerwy - żeby cię zawiadomić, że ma stan podgorączkowy i katar. Wychowawczynie sugeruje, że należałoby zabrać ją do domu.

- Teraz nie mogę. - Potarł kark. - To pewnie zwyczajne przeziębienie. - Alice sprawiała wrażenie zaniepokojonej. - Wyjadę stąd, jak tylko będę mógł, ale dyżur kończę dopiero o szóstej. - Ponownie wzywano go do rannego motocyklisty.

- Ja już na dzisiaj skończyłam - powiedziała. - Jak chcesz, mogę ją odebrać i odwieźć do domu.

Takiej propozycji się nie odrzuca.

- Naprawdę?

- Oczywiście. Niepokoję się o nią. Po wczorajszej kąpieli...

- Jeżeli uznasz, że jest chora, przywieź ją tutaj.

- Dobrze. A jak nie, to pojedziemy prosto do domu.

- Weź klucze. Leżą na biurku w moim gabinecie. Drzwi otwiera się tym największym. Postaram się jak najszybciej do was przyjechać.

- Nie spiesz się. Poradzimy sobie. - Ruszyła do wyjścia.

- Alice...

Odwróciła się w jego stronę.

- Dziękuję.

Nie spodziewała się, że Andrew skorzysta z jej propozycji pomocy.

Może nie potrafi jej powiedzieć, że zasługuje na jego zaufanie, ale czyny przemawiają dobitniej niż słowa.

Nawet jej podziękował, mimo że nie miałyby mu za złe, gdyby od razu pospieszył do pacjenta. A do podziękowań dołączył ten cudowny uśmiech! Dla niej!

Ten uśmiech sprawił, że poczuła przyjemne ciepło rozlewające się po całym ciele. Może nawet nie czułaby potrzeby rozpalania kominka, gdyby nie biedna Emmy. Dziewczynka miała wypieki, podejrzenie

błyszczące oczy i ciekący katar. Osłuchawszy ją, Alice stwierdziła, że to jedynie niegroźna infekcja wirusowa.

- Damy ci paracetamol, a potem zrobimy ci gorącą kąpiel - poinformowała swoją małą podopieczną. - Masz piżamkę, kapcie i szlafrok?

Emmy przytaknęła.

- Teraz ty będziesz moją nianią?

- Tylko dzisiaj, dopóki tata nie wróci.

- Bo jestem chora?

- Tak. - Poszły razem do kuchni, gdzie Emmy przysiadła na ławie.

Alice tymczasem otwierała szuflady w poszukiwaniu łyżeczki, żeby podać jej lekarstwo.

- Lubię być chora - oświadczyła Emmy.

- Lubisz być chora?!

- Tak. - Emmy, otrząsając się z obrzydzenia, przełknęła syrop, w który Alice zaopatrzyła się na oddziale, po czym uśmiechnęła się do niej szeroko. - Myślę, że będę chora baaardzo długo.

- Myszko, to tylko przeziębienie. Za dwa dni będziesz zdrowa jak rybka. - Zdziwiła się, bo Emmy nagle spochmurniała. - Chyba nie chcesz chorować.

- Chcę.

- Dlaczego?

- Bo będziesz się mną opiekowała. - Emmy zeskoczyła z ławy.

- Aha.

Hm, jak ta mała potrafi chwycić za serce. Andrew słusznie zauważył, że przywiązanie bardzo utrudni jej wyjazd. To będzie katastrofa dla niej i dla Emmy.

Może to wcale nie był taki dobry pomysł?

Po raz pierwszy znalazła się w wielkim domu i od progu była nim zafascynowana.

- Muszko, gdzie jest łazienka?

- Na piętrze. Pokażę ci.

Emmy pociągnęła ją na schody. Alice dotykała lśniącej drewnianej poręczy, podziwiając bogato rzeźbioną balustradę i chodnik w orientalne wzory mocowany mosiężnymi prętami.

- To jest mój pokój.

Półki pełne książek, zabawki porozrzucone na podłodze, domek dla lalek i czarna tablica, a na niej imię Emmy starannie wykaligrafowane kredą w różnych kolorach, zapewne przez kochającego tatę.

- Masz łóżko z baldachimem! - zachwyciła się Alice.

- Tata poprosił, żeby go nie wynoszono. Powiedział, że będzie dla mnie, bo jestem jego księżniczką.

Alice dotknęła muślinowych zasłon.

- Piękne... - szepnęła. Emmy kiwnęła głową.

- Mnie też się podoba. Ale jeszcze fajniejsze jest łóżko taty.

- Mmm?

Emmy już ciągnęła ją korytarzem, a ona szła z bijącym sercem oraz wyrzutami sumienia. Nie powinna wchodzić do sypialni Andrew.

Emmy zdrowiała z minuty na minutę, ale nadal od czasu do czasu wycierała nos rękawem. W pokoju Andrew puściła rękę Alice, żeby wskoczyć na całkiem zwyczajne łóżko.

- Dlaczego bardziej niż twoje podoba ci się to łóżko? - Alice starała się nie rozglądać, ale nie mogła nie dostrzec koszuli porzuconej na podłodze oraz garstki monet na nocnym stoliku.

- Bo tu śpi tata.

Oczywista odpowiedź. Mogła się jej spodziewać, ale usilnie starała się nie myśleć o Andrew śpiącym na tym łożu zdecydowanie za dużym dla jednej osoby. Śpi w piżamie czy... bez? Odwróciła głowę. Nie daj Boże, by Emmy mu doniosła, że Alice była czerwona jak burak, jak jej pokazywała jego sypialnię?

- Idziemy się kąpać - oznajmiła. - Potem rozpalimy w kominku, zjemy kolację, a jeszcze później poczytam ci twoje ulubione bajki.

- Kiedy tata wróci?

- Jak skończy pracować.

- Zanim pójde do łóżka?

- Chyba tak. O której się kładziesz?

- Jak mi tata każe - odpowiedziała Emmy z bardzo już zdrowym, szelmowskim błyskiem w oku.

Skończył dużo później, niżby chciał. Stabilizowanie pacjentów i przekazywanie ich specjalistom zajęło mu sporo czasu, toteż wyszedł ze szpitala dopiero po siódmej. Był tak zmęczony, że szczerze żałował zakupu domu w tak dużej odległości od miasta.

Wczorajsza „przygoda” Emmy, niemal bezsenna noc, a po niej cały pracowity dzień plus niepokój o stan zdrowia córki kompletnie go wyczerpały.

Postawił na podłodze teczkę, która wydawała mu się ciężka jak ołów, powiesił kurtkę na wieszaku, po czym ruszył przez rozległy hol do kuchni.

Poczuł się jakoś inaczej, niż kiedy w poprzednie wieczory wchodził po pracy do domu. Z powodu tego smakowitego zapachu unoszącego

się w powietrzu? Przez to ciepło płynące przez uchylone drzwi biblioteki?

Czy przez przyćmione światło lampy, które ujrzał, szerzej je otwierając?

Alice siedziała na kanapie, a Emmy opierała się o nią. Otulona pierzyną wyglądała jak bałwanek.

To zapewne zmęczenie, głód i obawa o zdrowie dziecka sprawiły, że poczuł wręcz bolesny ucisk w gardle. Albo dołączyły do tego ciepło i zapach jedzenia. Po raz pierwszy, odkąd był dzieckiem, odniósł wrażenie, że znalazł się w prawdziwym domu.

Gdy wszedł, Alice przerwała czytanie i bez słowa podniosła na niego wzrok. Uśmiechnęła się.

- Co z nią? - zapytał, spoglądając na bałwanek.

- Śpi jak suseł - odrzekła półgłosem. - Godzinę temu zjadła kolację, pół godziny temu dostała drugi paracetamol. Włożyłam jej termofor pod prześcieradło.

- Zaniosę ją do łóżka.

Żeby podnieść Emmy razem z pierzyną, musiał pochylić się także nad Alice. Gdy poczuł bijące od niej ciepło, wyobraził sobie, jak przyjemnie było Emmy tak się przytulać i słuchać bajek. Jak u mamy. Po raz pierwszy w jej krótkim życiu.

Dobrze, że musiał zanieść Emmy do łóżka. Będzie miał czas się otrząsnąć z niepokojącego odkrycia, że... nie ma ochoty eksmitować Alice. Oraz że chciałby... że musi ją przy sobie zatrzymać.

Gdy zszedł na dół, wyjmowała z piekarnika aromatyczną pieczeń wołową z ziemniakami. Domowy posiłek!

- A ty jadłaś?

- Tak, z Emmy.

- Napijesz się wina? Uważam... - wciągnął w nozdrza zapach potrawy na talerzu, który Alice postawiła na stole - że to zasługuje na najlepsze czerwone, jakie mam. - Sięgnął do stojaka na wino, po czym zaczął szukać korkociągu.

- Nie, raczej nie. - Wahala się. - Jake już się martwi, że nie dostał kolacji.

- Proszę, zostań jeszcze kilka minut. Chciałbym ci ładnie podziękować i wypytać o Emmy, ale padnę, jak czegoś zaraz nie zjem. Lunch był tak dawno, że nawet nie pamiętam, czy go jadłem.

Przysiadła na brzeжку krzesła, a on postawił przed nią butelkę i kiełiszki.

- Zaniesiesz? Zdziwiona uniosła brwi.

- Dokąd?

- Przed kominek, w którym tak pięknie napaliłaś. - Wziął swój talerz.

- Idziesz?

- Tylko na kilka minut - zastrzegła się. - Muszę o czymś z tobą porozmawiać.

Nie powiedziała, o co jej chodzi, dopóki nie zjadł, dopóki nie zrobiło mu się ciepło, dopóki nie wysłuchał relacji na temat stanu zdrowia Emmy. Również wino przyczyniło się do tego, że ogarnęło go dziwne uczucie. zadowolenia.

- O czym chciałaś porozmawiać?

- O opiece nad Emmy. - Wstała z kanapy, żeby dorzucić do komin-ka.

- Ojej! - jęknął. - Planowałem dzisiaj zadzwonić do agencji, ale nie miałem kiedy. Dziękuję, że wybawiłaś mnie z kłopotu. Nie wiem, co bym zrobił bez twojej pomocy.

- To żaden kłopot - powiedziała cicho. - To dla mnie przyjemność. Emmy jest fantastyczna.

- Nie musiałaś aż tak się starać. - Odstawił pusty talerz na podłogę.

- To był mój pomysł. - Nadal klęczała przed kominkiem. - Wolałam ci to pokazać, niż o tym mówić.

Pokazać mu? Potrząsnął głową. Chyba wino już mu zaszumiało w głowie. Bo patrzy na Alice, która w blasku płomieni dokłada do kominka, i wydaje mu się, że ona mówi o gotowaniu i opiece nad jego dzieckiem. O tym, że potrafi prowadzić dom, matkować Emmy, być żoną...

Boże! To bardzo kuszące rozwiązanie.

- Mogłabym zostać nianią - usłyszał jej głos. - I... gosposią. To jest do zrobienia. Musiałabym tylko tak poprzesuwać swoje dyżury, żeby się z tobą wymieniać.

- Co cię do tego skłania?

- Mój dom - odparła, nie owijając w bawełnę. - Nie chcę, żebyś mi płacił. Chciałabym dalej mieszkać w domku pasterzy, a mówiłeś, że potrzebujesz opiekunki do Emmy i pomocy w domu. Mogę się tego podjąć. Chciałabym to robić. Co... co o tym myślisz?

Co o tym myślał? Ogarnęło go rozczarowanie, że jego zmęczony umysł wykreował całkiem inny, absurdalny scenariusz. To zwykły biznes, nic więcej.

Ale... mogłoby to przeistoczyć się w coś więcej. Łączy ich już przeszłość, której nie chcą ujawniać. Teraz nowa więź zadzierzgnięta za



sprawą Emmy. Proponowany przez Alice układ mógłby stać się podstawą, okazją do dania sobie czegoś nawzajem, zamiast groźby odebrania czegoś innego.

Stać się nawet nowym początkiem?

- To mogłoby zadziałać - powiedział po namyśle.

- Ale...

- Ale? - Nie spuszczała z niego wzroku.

- Ale musimy mieć do siebie zaufanie. - W tym tkwi cały problem. Przecież przysiągł sobie, że już nigdy nie zaufa żadnej kobiecie po tym, przez co przeszedł z Melissą.

- Ja ci ufam. Czy ty potrafisz mi zaufać? - szepnęła, zapatrzona w niego.

Widział złote iskierki w jej oczach, cień rzęs, gładką skórę jej policzków. Słyszał jej oddech.

Dlaczego wcześniej nie zauważył, jaka jest piękna? W tych oczach można utonąć, wcale nie chcąc się ratować. Heroicznym wysiłkiem woli powstrzymał się, by jej nie pocałować.

- Tak - powiedział półgłosem. - Wiem, że potrafię.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

To jej wystarczy. Andrew jej ufa i pozwolił zatrzymać ukochany domek.

Nie musiała zmuszać się do tego, co niemożliwe: do budzenia w sobie nienawiści do niego.

Okres próbny pokazał, że jej pomysł się sprawdza. Na początku zrobili pewne zamieszanie w dyżurach, ale koledzy i koleżanki przychylni się do ich prośby, by zawsze jedno z nich miało wolny weekend. Ta rewolucja przebiegła tak sprawnie, że Alice chwilami miała wrażenie, że tak właśnie miało być.

Ze w końcu po raz pierwszy w jej życiu gwiazdy ustawiły się w sprzyjającej konstelacji.

Kiedy jej dyżur wypadał za dnia, Andrew odwoził Emmy do świetlicy, a potem jechał do pracy. Alice po trzeciej odbierała ją ze szkoły razem robiły zakupy, potem Emmy odrabiała lekcje, a Alice zajmowała się domem: prała, prasowała, przygotowywała kolację.

Jej zwierzaki na tym nie ucierpiały. Emmy z entuzjazmem odwiedzała Bena, pomagając przy jego toalecie i karmieniu, a Jake jako niekwestionowany bohater zawsze był mile widziany w domu.

Jeśli miała dyżur po południu, rano odwoziła Emmy, a Andrew po pracy odbierał ją ze szkoły. Starła się bardzo, tym bardziej że już na samym początku Andrew odmówił pobierania od niej czynszu za domek czy opłaty za pastwisko.

- Chyba nie masz pojęcia, ile to będzie dla mnie warte, jak ten układ się sprawdzi - uciszył jej protesty.

Układ się sprawdził, nawet gdy doszły im dyżury nocne. Kiedy Alice pracowała w nocy, rano wyprawiała Emmy do szkoły, potem szła spać, a kiedy Andrew miał nocny dyżur, nocowała w jego domu.

Za pierwszym razem, gdy Andrew stawiał się w domu o świcie, kiedy ona akurat robiła sobie herbatę, będąc jeszcze w piżamie, oboje czuli się skrepowani. Ale w krótkim czasie przestali na to zwracać uwagę. Lub starali się unikać podobnych sytuacji. Na przykład Alice szła do siebie, gdy wieczorem Andrew wracał z pracy na kolację, którą wcześniej przygotowała.

- Alice, nie wygłupiaj się - powiedział w drugim tygodniu tego eksperymentu. - Po co masz gotować dwa razy, a nawet trzy, jeśli doliczyć kolację Emmy? Zostań i zjedz ze mną.

Jeśli Emmy jeszcze nie poszła spać, zasiadali z talerzami przed kominem i czasami Andrew pozwalał Emmy piec pianki, a jeśli już spała, jedli przy kuchennym stole. Przebywanie we dwoje przed kominem równałoby się przekroczeniu pewnej granicy, a przecież miał to być wyłącznie korzystny układ dla obu stron. Nic więcej, tylko druga praca Alice. Żadnych osobistych zobowiązań.

Ich rozmowy ograniczały się do spraw zawodowych i tych związanych z Emmy. Nie poruszali tematów z czasów, kiedy razem pracowali w Londynie. Jakby zaczynali wszystko od nowa, jakby jeszcze nie przyszedł czas na wątki z ich wcześniejszego życia prywatnego.

To ich zadowalało.

Może nawet za bardzo.

Jednak zważywszy, jak dobrze im się układało w tych pierwszych tygodniach, w sercu Alice rozbłysła iskierka nadziei. I konsekwentnie rosła.

Może z powodu rysów twarzy Andrew łagodniejących w miarę, jak opuszczało go napięcie związane z układaniem sobie życia w nowym miejscu. A może z powodu tej soboty, kiedy oboje mieli wolne? Rano do jej drzwi zapukał Andrew z rozpromienioną Emmy.

- Przyszło nam do głowy, że może masz ochotę wybrać się z nami do miasta - powiedział.

Miał na sobie dzinsy oraz gruby sweter i był bardziej potargany niż w tygodniu. Zdała sobie wtedy sprawę, że warto było wejść w ten układ oraz przewrócić do góry nogami plan dyżurów całego oddziału, żeby zobaczyć go w roli ojca, na jego własnym terenie. Oraz mieć przywilej uczestniczenia w jego życiu prywatnym.

Nie wspominając o tym uśmiechu, który sprawiał, że bez wahania poleciałaby nawet na Księżyc, gdyby ją o to poprosił.

- Na zakupy. - Emmy aż podskakiwała. - Dla mnie!

- Em ma pewne braki w przyodziewku, trzeba jej kupić buty i różne takie... - wyjął. - A ty j esteś... hm... dziewczyną.

- Tak jak ja! - zapiszczała Emmy.

- A ja, co mi dzisiaj wytknięto już kilka razy, dziewczynką nie jestem.

- No, faktycznie... - Zapatrzyła się w jego oczy, które bezwstydnie mówiły jej, że wcale nie jest dziewczyną. Że jest kobietą, a on po prostu samcem. Oraz że podobnie jak ona, on zdaje sobie sprawę z ewentualnych konsekwencji.

Przepadła. Zagubiła się. I pozostanie zagubiona... dopóki Andrew jej nie odnajdzie.

Ona tu jest, zawsze tu będzie, więc kiedy Andrew dojrzeje, kiedy zechce ją odnaleźć, zrobi to bez trudu.

- Z przyjemnością pojedę z wami na zakupy.

W takich chwilach Andrew musiał przypominać sobie stanowczo, że jest to jedynie układ biznesowy. Że Alice podjęła się tego, ponieważ potrzebuje mieszkania dla siebie i dla swoich zwierząt.

Problem polegał na tym, że układ ten funkcjonował tak dobrze, że Andrew zdarzało się o tym zapominać. Jak teraz, kiedy Emmy siedziała w foteliku z tyłu, a Alice na fotelu pasażera z przodu.

Przez ten miesiąc do tego stopnia stała się częścią ich życia, że nie wyobrażał sobie, by mogło być inaczej.

Śpiewali chórem ulubioną piosenkę Emmy o gąsienicy, ale po chwili zamilkł, a one tego nie zauważyły. Był piękny zimowy słoneczny dzień, przed nimi rozciągał się zapierający dech w piersiach widok na ośnieżone szczyty Alp Południowych. Jego córeczka szalała ze szczęścia, a on przyłapał się na tym, że się uśmiecha sam do siebie.

Kątem oka spojrzał na Alice. Miała na sobie dzinsy i ciemnorudy puszasty sweter w podobnym odcieniu jak jej warkocz przerzucony przez ramię. Rozśpiewana dzielnie walczyła ze słowami piosenki o poplątanych nóżkach gąsienicy, pracowicie odliczając je na palcach. Takich eleganckich i smukłych jak reszta jej sylwetki.

Nareszcie przyznał się przed sobą, że jej ciało coraz bardziej go fascynuje. Nie powinien jej ulegać, bo mogłoby to zagrozić osiągniętemu stanowi rzeczy, który uważał za niemal idealny.

Spochmurniał na wspomnienie przeszłości. Żałował, że nie jest już takim człowiekiem jak dawniej, nieskażonym przeszłością, która sprawiła, że teraz ma serce z kamienia.

Żałował też tego, że lata temu nie poznał Alice lepiej, zaślepiony urokiem i jawnymi pochlebstwami Melissy, zanim jeszcze jego zdolność do zaufania kobiecie nie została nieodwracalnie zniweczona.

Ale gdyby nie wpadł w pułapkę Melissy, nie zaistniałaby Emmy, jego największy skarb, jego słońko. Jego pierwsze w dorosłym życiu doświadczenie bezwarunkowej, odwzajemnionej miłości. Potrzebę chronienia córeczki poczuł w chwili jej narodzin i od tej pory to uczucie nieustannie się nasilało.

Nie, nie zrobi nic, co mogłoby zaburzyć układ, który daje Emmy poczucie bezpieczeństwa i tyle radości. Gdyby Alice dowiedziała się, co on czuje i jak trudno mu trzymać ręce przy sobie, na pewno uciekłyby gdzie pieprz rośnie. Byłoby to z jego strony nadużyciem jego nadrzędnej pozycji jako właściciela mieszkania. Lub pracodawcy. To zależy od tego, jak ona go postrzega.

Ale... Znalazłszy się w centrum miasta, musiał zwolnić, co pozwoliło mu kontynuować rozmyślenia. Czasami miał wrażenie, że Alice czuje podobnie jak on. Wskazówką mogło być to, jak wita go uśmiechem, gdy on wraca do domu, albo jak ociaga się z wyjściem do siebie, gdy on proponuje, że sam pozmywa naczynia po kolacji. Albo to, jak zareagowała, gdy zapraszał ją na zakupy w roli doradcy Emmy.

Czy to tylko myślenie życzeniowe sprawiło, że wyobraził sobie to napięcie seksualne?

Jeśli tak, to jest durniem. Niezależnie od dobrych chęci obu stron nie ma żadnej gwarancji, że jakiś związek będzie udany. Już raz bardzo

dokładnie to przećwiczył. Więc gdyby zaczął coś, co by nie wypaliło, jego i Emmy sytuacja stałaby się tragiczna, bo Alice mogłaby od nich odejść. Aktualny układ umożliwiał mu wdrożenie się do pracy w nowym miejscu, a Emmy spokojny start w szkole.

Jego mała dziewczynka bardzo urosła w ciągu tych kilku tygodni, z każdym dniem stawała się bardziej odważna i zdecydowana. Gdy przyszło do wybierania garderoby, jasno pokazała, że wie, czego chce.

- Poproszę dzinsy - oznajmiła. - Takie same, jak nosi Alice. I sztyblety.

- Sztyblety?

- No wiesz, takie z gumą z boku.

- Aha, krótkie buty do konnej jazdy - wyjaśniła mu Alice. - Bardzo praktyczne do chodzenia na farmie.

- Emmy, w tym sklepie nie ma takich butów. Może następnym razem. Teraz musimy kupić rzeczy do szkoły.

- Ja chcę chodzić do szkoły w sztybletach!

- Nie - zaproponował Andrew. - Zwyczajne buty do szkoły, sztyblety w domu.

- Aha, to sztyblety też mi kupisz?

Andrew rzucił Alice bezradne spojrzenie, ale ona tylko się uśmiechnęła.

- Niedaleko stąd jest sklep jeździecki, tam je znajdziemy.

Kupili nie tylko buty do konnej jazdy, bo Emmy wypatrzyła stojak z bryczesami dla dzieci. Rzuciła ojcu tak błagalne spojrzenie, że zrezygnowany pokiwał głową.

- Czemu nie? Ostatnio często dosiadasz Bena.

Ekspedientka przyniosła im parę bryczesów z naszyciami z zamszu na siedzeniu oraz wewnątrz nogawek.

- Ten zamsz pomaga utrzymać się w siodle - pouczyła dziewczynkę, gdy ta już wkładała nowiutkie brązowe sztyblety. - Jak się nazywa twój kucyk?

- Nie mam kuczka - odpowiedziała smutno Emmy. - Siedzę tylko na Benie, ale on jest dla mnie za duży.

Dziewczyna podniosła wzrok na Andrew.

- Jeśli są państwo zainteresowani, to wiem o pewnym kuczku w sam raz dla takiej dziewczynki, który szuka nowego właściciela.

- Nie, nie, dziękuję.

- Tato, proszę! - zawołała Emmy. Ekspedientka uśmiechnęła się do Alice.

- Ogłoszenie leży na ladzie. Może mama podejmie ostateczną decyzję?

Zapadło nieprzyjemne milczenie.

Andrew czuł, że nie wykrztusi ani słowa. Bał się spojrzeć na Alice, ale Emmy, kochane dziecko, się nie przejęła.

- Nie mam mamy, bo umarła.

- Och! - Ekspedientka stanęła w pąsach. - Tak mi przykro...

Andrew wstrzymał oddech. W ten sposób wszyscy dawali wyraz współczuciu i na początku nietrudno było mu na to odpowiedzieć. Był w żałobie jak każdy wdowiec. Oplakiwał fakt, że przepadła szansa na konstruktywny związek. Cierpiał głęboko, że jego córeczka będzie się wychowywała bez matki. Ale ten smutek towarzyszy mu od narodzin Emmy.



Czy Alice nie dziwi to, że ani razu nie wspomniał o żonie? Że nigdzie nie ma jej fotografii? Czy Emmy opowiada o niej, kiedy on jest poza domem? Chyba nie. Miała zaledwie trzy lata, gdy Melissa zmarła, a wcześniej widywała ją w przerwach między jej pobytami na leczeniu. Dla niej śmierć matki jest faktem, którym swobodnie dzieli się z każdym. Jak z tą ekspedientką.

Więź, która powinna łączyć ją z matką, stała się przywilejem ojca. Poprzednie opiekunki były kochane, ale nie naruszyły tej więzi. Do tej chwili.

Bo teraz zjawiała się Alice, a on nie wiedział, co z tym zrobić, jeżeli w ogóle jakoś powinien zareagować.

Podobnie jak nie miał pojęcia, co zrobić, by ekspedientka nie była taka spłoszona.

Ale Emmy wyratowała go i z tej opresji.

- Teraz mam Alice - rzuciła beztroskim tonem.

Zmieszanie z powodu pomyłki sprzedawczyni towarzyszyło jej jeszcze pół godziny później, gdy Andrew zabrał je na lunch do restauracji słynącej z hamburgerów.

Czy uległością wobec żądań Emmy i hojnością w sklepie z akcesoriami jeździeckimi chciał zatuszować krępujący incydent? Nawet wziął ogłoszenie o kucyku, obiecując, że się zastanowi.

Ale dzięki temu mieli temat do rozmowy nad hamburgerami i frytkami.

- Kucyk nazywa się Paddington, jak ten miś - Alice poinformowała Emmy.

- To bardzo angielskie - zauważył Andrew. - Ale on bardziej przypomina kucyka z komiksów Thelwella.

To prawda. Paddington był niewielkim kudłatym szetlandem z bardzo okrągłym brzuchem. Jak wynikało z ogłoszenia, od osiemnastu lat był ulubieńcem dzieci.

- To chyba bardzo leciwe zwierzę?

- Niekoniecznie. Znam trzydziestoletnie kucyki, które są pełne energii. - Uśmiechnęła się, spoglądając na zdjęcie. - Jest śliczny i podobno bardzo spokojny. Idealny na pierwszego kucyka.

- Nie znam się na hodowli kucyków - przyznał się Andrew.

- A ja się znam - powiedziała półgłosem.

Emmy była pochłonięta maczaniem frytek w saszetce z keczupem. Prawdopodobnie uznała, że jeśli będzie siedziała cicho, dorośli podejmą decyzję na jej korzyść.

Nie widziała też, jak ci dorośli na siebie patrzyli.

- Co będzie - odezwał się Andrew - jak się wyprowadzisz?

Alice odłożyła hamburgera. Nie mogła oderwać wzroku od Andrew. Co mówią jego oczy? Czy to jest prośba? Zaproszenie, by ujawnić to, czego nie da się dłużej ukrywać? Domyślała się, że w jej spojrzeniu jest zapewnienie, nad którym nie potrafi zapanować.

Możesz mi zaufać. Zawsze.

- Dlaczego miałabym się wyprowadzać? - szepnęła. Nie odpowiedział, ale coś się zmieniło. Coś bardzo ważnego.

Jakby czas stanął w miejscu. Jakby kula ziemską przestała się kręcić. Moment później zauważyła w jego oczach wymowny błysk. Dobrze, że siedziała, bo inaczej nogi by się pod nią ugięły, a kula gorąca rozgorzała w dole brzucha.

Milczeli tak długo, że Emmy podniosła na nich wzrok.

- Najadłaś się? - zapytał Andrew. - Mam tam zadzwonić i zapytać, czy Paddington zechce nam się przyjrzeć?

Radosny pisk Emmy sprawił, że powędrował ku nim wzrok wszystkich gości w restauracji. Tym razem Alice i Andrew wymienili speszzone spojrzenia, przemieszane ze zrozumieniem i rozbawieniem. Niczym para kochających rodziców. Nie było w tym nic niestosownego.

Opróżniając tacę do pojemnika przy wyjściu, odetchnęła niemal z ulgą.

Weszli na nową drogę. Nie, dla niej to stara droga, na której utknęła dawno temu. Teraz jest inaczej, bo dobił do niej Andrew. Może tym razem ta droga dokądś ich zaprowadzi? Nieważne, ile zajmie im następny krok, bo najtrudniej było wejść na tę drogę. Nie można na niej się cofnąć, więc wyłącznie kwestią czasu jest nieuchronny kolejny krok.

Nieważne, ile trzeba czekać, bo ona czeka już kilka lat, będzie czekać, aż Andrew do tego dojrzeje. Była przygotowana, że potrwa to tygodnie, może nawet miesiące.

Nie przewidziała, że była to kwestia godzin.

Nie zamierzała nigdzie wyjeżdżać.

Chciała zostać tutaj. Z nim. Na zawsze?

Mimo że jego umysł bardzo się starał, do końca tego niezwykłego dnia nie znalazł argumentu, dla którego nie powinien jej ufać.

Kurczę, bardzo chciał mieć do niej zaufanie! Chciał czuć się na siłach dawać i wzajem otrzymywać miłość która przetrwa aż po grób. Zrezygnował nawet z jej szukania. Dopóki nie zobaczył czegoś w spoj-

rzeniu Alice] kiedy siedzieli w restauracji. Czegoś, co poruszyło w jego sercu strunę, o której istnieniu zdążył już zapomnieć.

Na poziomie racjonalnym wiedział, że nie wszystkie kobiety są jak Melissa egocentryczne, fałszywe, niezdolne liczyć się z uczuciami innych. Zdawał sobie sprawę z tego, że Alice jest zupełnie inna.

Wiedział też, jak czuje się człowiek, który zaufał, a życie raz po raz mu pokazywało, że popełnił błąd. Jakoś by to przeżył, ale nie wyobrażał sobie, jak miałby to wytłumaczyć swojemu niewinnemu dziecku. A może Emmy już się wymyka spod jego opiekuńczych skrzydeł? Widać wyraźnie, że darzy Alice całkowitym zaufaniem. Że wręcz ją pokochała.

Patrzył, jak podczas próbnej przejażdżki jego córeczka trzyma Alice za rękę i zerka na nią w oczekiwaniu słów otuchy, siedząc na malutkim pękatym kucyku. Pod koniec jazdy zauważył, jak wymieniają uradowane spojrzenia.

Przez chwilę nawet... nie, nie była to zazdrość, raczej smutek, że Emmy spotka na swojej drodze życiowej osoby, z którymi połączy ją więź silniejsza niż z nim. Inni dadzą jej to, czego on po prostu nie może jej dać. Czy to jeden z elementów rodzicielstwa? Nieuchronna konieczność stopniowego zwijania parasola ochronnego? Zgoda na to, by dziecko samodzielnie badało świat oraz to, co inni mogą mu dać?

Patrzył, jak Alice szepcze coś Emmy do ucha. Ułamek sekundy później dziewczynka rzuciła mu się na szyję. I tak znalazł się w kręgu ich radości. Całkiem nowe doświadczenie. Obejmując Emmy, ponad jej ramieniem spojrzał na Alice, by w ten sposób wyrazić wdzięczność.

Tego dnia dokonała się zmiana tak fundamentalna, że Andrew nie był w stanie jej pojąć, więc uznał, że lepiej dać się ponieść prądowi, zwłaszcza tak silnemu.

Jedyne, co pozostało mu zrobić, to wyjąć książeczkę czekową, wrócić do domu po przyczepkę dla konia, po czym pojechać po nowy przybytek oraz jego ekwipunek, który wypełnił cały bagażnik auta Alice. Paddington zabrał ze sobą wszystko, co mogło być mu potrzebne: siodło, uprząż i ciepłe derki. Emmy promieniała.

- Tato, patrz, Ben go lubi! Zobacz, już się zaprzyjaźnili!

Wyglądali groteskowo: ogromny wrony koń i malutki kosmaty kucyk, ale ku zdumieniu ludzi spokojnie skubali trawę pysk przy pysku. Wyglądali, jakby znali się od lat.

Andrew oczami duszy zobaczył, jak Alice na czarnym koniu, trzymając wodze jedną ręką, drugą prowadzi kudłatą miniaturkę. Poczł ucisk w żołądku. Czy może zaufać Alice, że upilnuje Emmy?

Nie miał wyboru. Przecież nie po to kupował dziecku kucyka, żeby zabronić mu na nim jeździć.

Trudno o większy dowód zaufania.

Najcięższa próba czekała ich wieczorem, gdy Emmy, wyczerpana najbardziej emocjonującym dniem w swoim życiu, błyskawicznie zasnęła.

Alice pomagała Andrew w kuchni posprzątać po wspólnej kolacji. Trzymała w ręce ściereczkę do naczyń, kiedy złapał za jej drugi koniec.

- Ja pozmywam - powiedział. - Ty gotowałaś.

- To chwila. - Uśmiechnęła się, ciągnąc swój róg. Szarpnął mocniej. Jeszcze mocniej. Tak mocno, że

musiała podejść bliżej. Tak blisko, że stanęli niemal oko w oko. Jej uśmiech zgasł. Andrew wiódł wzrokiem po aureoli jej kasztanowych włosów, delikatnej cerze, rozkosznych piegach, piwnych oczach, zgrabnym nosku i na koniec po jej wargach. Takich lekko rozchylnych, wyczekujących.

Całkiem zapomniał, że chciał pocałować ją w czubek nosa. Pochylił głowę, by dosięgnąć jej warg.

Delikatne, słodkie... Ale nagle pożądanie kazało mu się od niej odsunąć. Takie samo zdumienie rozbłysło w jej oczach, ale ona się nie cofnęła.

Czuł na twarzy jej oddech i widział pulsowanie żyły na szyi. Gdy oblizła wargi, nie potrafił oprzeć się temu, co go pchało do niej z nieubłaganą siłą.

Tym razem był przygotowany na dreszcz, który zelektryzował każdą komórkę jego ciała. Wsunął dłoń w jej włosy, po czym powiódł dłonią po jej piersi. Westchnęła.

Z trudem chwyając oddech, cofnął rękę, czując, że lada chwila straci panowanie nad sobą. Wrócili do punktu wyjścia. Stali, patrząc sobie w oczy. Ale tyle się zmieniło...

- Nie chcę przestać - wyznał.
- Ja też nie chcę - szepnęła.
- Hm... nie mam prezerwatywy.
- Ja też. - Oblizła wargi, a on jęknął cicho. - Ale... hm... biore pigułkę.
- Aha... - Dlaczego? Ma... miała kogoś? Tak, to zazdrość. Dzika zazdrość.

Czytając w jego myślach, pokręciła głową.

- Nie, nie dlatego. Już dawno nikogo nie miałam.

- Ja też nie. Ponad pięć lat. - Mniej więcej od poczęcia Emmy. Żenująca. - Chyba pobili rekord...

- No nie wiem. - Na moment opuściła powieki. Też się wstydzi zerowego życia erotycznego?

Odchrząknął.

- Nie jestem nosicielem żadnej choroby...

- Ja też nie. - Otworzyła oczy. I wówczas pojął, że Alice wie, co on proponuje. Ale... mówił, że jej ufa, ale jednak nie zaufał, gdy było to takie ważne. Nie bronił jej przed podejrzeniami o kradzież leków, przez co wszystko straciła. Pracę, dom, zapewne większość przyjaciół.

Posuwanie się tak daleko w kwestii zaufania to jak... wyznanie skruchy. Zadośćuczynienie.

Chyba wyczuła, co dzieje się w jego głowie, bo zdziwienie w jej oczach wywołane jego sugestią zgasło.

- Po tym, jak pacjent na oddziale zakrwawił całą salę, wszyscy obowiązkowo przeszliśmy próby na obecność HIV.

- Byłem czysty.

- Ja też.

Jasna sprawa. Pożądanie po obu stronach równie silne, badania lekarskie w porządku, antykoncepcja zapewniona. O ile Alice powiedziała prawdę.

To kwestia zaufania. Ogromnego zaufania, ale Andrew już o tym nie myślał. Teraz ma obowiązek doprowadzić sprawę do końca.

- Alice, ja ci ufam - oznajmił. - A ty mnie?

- Też.

Delikatnie powiódł palcem po jej brwiach, wokół oczu, po policzku, aż dotarł do warg.

- Alice, pożądam cię.

Nie musiała nic mówić, bo mówiły za nią oczy. Teraz ona dotknęła jego twarzy z cichym westchnieniem pożądania. Opuścił dłoń, splótł palce z jej palcami, żeby poprowadzić ją do swojego pokoju.

TLR



## ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Ty i Andy Barrett?

- Uhm.

Jo z podziwem, ale i z lekką zawiścią spojrzała na Alice.

- Ty to masz szczęście.

- Uhm.

- Od kiedy? - Jo ustawiała na stole tacki z sushi, które przyniosła na wspólny lunch.

- Och... od kilku tygodni.

- I nic mi nie powiedziałaś?!

- No nie... - Alice mieszała chrzan wasabi z sosem sojowym. - Bo to...

Bo było to zbyt piękne, by o tym opowiadać. Zbyt piękne, żeby było prawdziwe. Każdego dnia spodziewała się, że po przebudzeniu wszystko okaże się snem.

Jo uśmiechała się ze zrozumieniem. Przez chwilę jadły w milczeniu.

- On ma córeczkę, prawda? - odezwała się w końcu

Jo.

- Tak, Emmy. Ma pięć lat.

- To ci nie przeszkadza?

- Wręcz przeciwnie. Emmy jest fantastyczna. - Alice sięgnęła po drugą porcję sushi. - Pyszne.

- Zostało z wczorajszego przyjęcia. Moja współlokatorka świętowała urodziny i lekko przesadziła z zamówieniem.

- Emmy niedawno dostała kucyka - mówiła Alice. - Uczę ją jeździć. Jest strasznie ambitna i zamiast chodzić na lonży, już by chciała galopować po naszych górkach i lasach.

- Wygląda, że dobraliście się jak w korcu maku.

- Uhm. - Alice uśmiechnęła się.

Zostali kochankami, a ich wspólne chwile przysporzyły jej wspaniałych doznań, o których istnieniu wcześniej nawet jej się nie śniło. Ale tym, co najbardziej ją ujęło, był fakt, że Andrew jej zaufał.

Powiedziała mu, że bierze pigułkę, a on jej uwierzył. Mimo że prawdopodobnie Melissa mówiła to samo, jednocześnie starając się go usidlić i zmusić do ożenku. Chyba postradał zmysły, mając za sobą takie doświadczenie. Mimo to nadal jej wierzy. Gdy w końcu znaleźli czas, by zaopatrzyć się w prezerwatywy, poczuli, że oznaczałoby to powrót do braku zaufania.

Ta radość dziwiła ją, tym bardziej że wzajemne zaufanie w połączeniu z faktem, że żadne z nich nie wykazywało zamiaru wycofania się, pozwalały jej wysnuć wniosek, że oboje znaleźli coś trwałego.

Trzeźwo myślący ludzie kochają się bez zabezpieczenia tylko wtedy, gdy uważają swój związek za niezagrożony. A to chyba znaczy tyle samo co odpowiedzialny? Co milcząca zgoda obu stron, że zmierzają ku czemuś bardzo ważnemu.

Wstrzemięźliwość seksualna towarzyszyła im wyjątkowo długo, więc łatwo się domyślić, że przypadkowy seks ich nie interesuje. Była to bardzo odważna decyzja.

A sam seks? Niewyobrażalny. Andrew potrafił sprawić, że czuła się taka piękna, pociągająca, taka...

- Zjesz ten ostatni kawałek, czy zamierzasz komunikować się z nim wyłącznie telepatycznie?

Alice, czerwieniąc się, prychnęła śmiechem.

- Przepraszam.

- Daj spokój, cieszę się, że jesteś szczęśliwa i zakochana. Wiem, że w tym stanie człowiek zapomina o bożym świecie. To powszechnie znana jednostka chorobowa - poinformowała ją rozbawiona Jo. - Dobrze, że nie macie zbyt często wspólnych dyżurów. Już jakiś czas temu zorientowaliśmy się, co jest grane, bo jak na siebie patrzycie, to tak między wami iskrzy, że głowa mała. Aż dziw, że oddział w dalszym ciągu działa tak sprawnie.

- Ej, na oddziale koncentrujemy się wyłącznie na pracy.

Jo zebrała puste pojemniki, żeby wyrzucić je do kosza.

- Każemy ludziom wyłączać komórki, żeby nie zakłócały pracy aparatury elektronicznej - powiedziała. - Uważam, że z tego samego powodu powinno się rozdzielać zakochanych. Wyobraź sobie, co by się stało, gdybyście wymienili spojrzenia, stojąc po dwóch stronach pompy żyłnej. Ten nieborak na stole mógłby otrzymać śmiertelną dawkę insuliny albo jakiegoś innego leku!

Roześmiane wróciły na oddział. Takie beztrioskie pogawędki z przyjaciółką tylko wzmacniały w Alice poczucie szczęścia. Skoro wraz z Andrew wytwarzają tak silną aurę, to znaczy, że on czuje to samo co ona, mimo że jeszcze nic nie powiedział.

To znaczy, że może dalej marzyć o wspólnej z nim przyszłości. Z nim oraz z małą dziewczynką, którą zdążyła pokochać tak bezgranicznie jak rodzona matka.

Nie miał najmniejszego powodu, wybierając się po Emmy do szkoły, zaglądać na oddział ratunkowy. To był jego dzień wolny. Okej, zostawił w gabinecie pisma fachowe, które zamierzał przeczytać, ale wystarczyłoby poprosić Alice esemesem, by przywiozła je do domu.

Problem polegał na tym, że od rana dom wydał mu się przerażająco pusty. Nie zadowolili go popołudniowy długi spacer z Jakiem po wzgórzach. Uczucie pustki kazało mu na kilka minut przystanąć na szczycie najwyższego wzniesienia i popatrzeć na rozległą posiadłość, której niedawno stał się właścicielem.

Widział w oddali wielki dom z dwoma dymiącymi kominami. Nie-samowite, jak szybko można się przyzwyczaić do mieszkania w tak wielkiej rezydencji. Najwyższy czas pomyśleć o zaplanowaniu remontu domu i zastanowić się nad wystrojem wnętrza, żeby zrobiło się w nim bardziej przytulnie. Przedsięwzięcie ekscytujące, ale też wyjątkowo trudne. Miejmy nadzieję, że Alice pomoże mu zdecydować, od czego zacząć.

Z tej odległości domek pasterzy wyglądał jak zabawka. W zagrodzie nieopodal Ben i Paddington skubali, siano, które Alice najwyraźniej im rzuciła, zanim przed świtem pojechała do szpitala.

Stał porażony odkryciem przyczyny tego uczucia pustki. Ta okolica to raj Alice, ale jej przy nim nie ma. Potrzebował jej bliskości, ponieważ zaczął sobie uświadamiać, jak nierozzerwalnym elementem tego krajobrazu jest ta kobieta.

Przez tych kilka tygodni zdążyli dobrze się poznać. Dorośli, dziecko, zwierzęta. Podrapał Jake'a za uchem, z zadowoleniem czując jego ciężar na nodze, bo przysiadłszy, Jake oparł się o niego tak jak o Alice. A

to znaczy, że brytan przyjął go do swojego stada, uznając za osobnika zasługującego na jego towarzystwo i opiekę. Za członka rodziny.

Wstrzymał oddech. Tak, Alice w dalszym ciągu wymyka się o poranku do siebie, zanim Emmy się o-budzi. Uznali, że rozsądnie będzie podtrzymywać tę fikcję, że Alice ma swój dom i swoje łóżko, ale poza tym funkcjonowali jak zwyczajna rodzina, aczkolwiek taka, w której oboje rodzice ciężko pracują.

Nietrudno było sobie wyobrazić trochę inną przyszłość. Kiedy Alice będzie częściej w domu.

Z dziećmi. Oczami duszy w rogu zagrody ujrzał, jak maluch przypięty w wózku, a obok stróżujący Jake przyglądają się, jak Alice z anielską cierpliwością udziela Emmy kolejnej lekcji jazdy w siodle. Jego pierworodna ma na głowie kask. Jest z niego tak dumna, że przed spaniem ustawia go na stoliku nocnym. Poprzedniego dnia obserwował, z jaką zawziętością Emmy uczy się anglezować w rytmie narzuconym przez kłusującego Paddingtona.

W kuchni przy stole stanie wysoki fotelik, a chwile wspólnie spędzone podczas posiłków będą najradośniejszą częścią dnia. A gdy dzieci pójda spać, on i Alice będą mieli resztę wieczoru dla siebie. Będą rozmawiać o życiu, pracy i o dzieciach, robić plany na przyszłość. Potem pójda do łóżka. Zdażyli już poznać skomplikowane mapy swoich ciał, miejsca, które na dotyk, pocałunki czy lizanie wywoływały westchnienia lub tłumione pomruki zadowolenia. Nauczył się już, kiedy ma zwolnić, żeby doprowadzić Alice na samą krawędź i przedłużać tę chwilę, by w końcu dać jej niebiańską rozkosz.

Na samą tę myśl znowu jej zapragnął.

Zapraǳnął wszystkiego, co Alice mu daje. Wspólny dom. Oraz tego, by opuścił go uporczywy lęk, że to może nie przetrwać próby czasu. Za wcześnie mówić o małżeństwie? O dozgonnym oddaniu?

O miłości?

Tak. Sądząc po przyspieszonym biciu serca oraz uczuciu suchości w ustach, ta perspektywa napawa go prawdziwym strachem. Dlaczego? Bo Alice może się nie zgodzić? Bo on wystawia się ponownie na ryzyko cierpienia, jakiego by nie przeżył? Zwłaszcza że tym razem byłoby ono wręcz niewyobrażalne.

Do Melissy nigdy nie czuł tego, co czuje do Alice; Pod nieobecność Melissy nigdy nie nękało go uczucie pustki. Spoglądając na Melisę, nigdy nie widział jej w roli swojej małżonki oraz matki swoich dzieci tak jasno, jak zobaczył Alice tego wieczoru, gdy klęcząc przed jego kominkiem, zaproponowała, że zaopiekuje się Emmy.

Decyzja sprzed lat co do miejsca Melissy w jego życiu nie nastęrczała mu trudności. Postąpił wtedy tak<sup>^</sup> jak postępuje człowiek honoru. Czy podświadomie liczy na to, że Alice ułatwi mu podjęcie tej drugiej decyzji? Sprawí, że on raz na zawsze zapomni o jakichkolwiek wątpliwościach? Ze zdarzy się coś, co w sposób bardziej zdecydowany pchnie ją w jego ramiona, na przykład... ciąża?

Czy to dlatego tak beztrósco przystał na seks bez zabezpieczeń? Nie, jasne, że nie. Taki brak odpowiedzialności nie jest w jego stylu. Z drugiej jednak strony, gdyby tak się stało... kiedyś... byłby wniebowzięty. Ale nie wiadomo, jak zareagowałyby Alice.

Czas, potrzebuje więcej czasu, żeby się z tym oswoić, stwierdził, schodząc z psem ze wzgórze. Sam musi się uporać ze swoimi wątpli-

wościami. Musi mieć stuprocentową pewność, dla dobra Emmy, poza tym chyba nie ma z tym pośpiechu.

Bo Alice nie zamierza nigdzie wyjeżdżać.

Coś jest nie tak, pomyślała, przyłapawszy się na tym, że nie bardzo wie, co się z nią dzieje. Miała uzupełnić zmiany ciśnienia w karcie pacjenta, ale wykres wydał się jej dziwnie nieczytelny. Chwilę potem głośnie burczenie w jej w brzuchu wywołało uśmiech na twarzy mężczyzny.

- Ktoś tu powinien pójść na lunch - zauważył. Alice pokręciła głową.

- Zjadłam bardzo obfity lunch;

Znowu burczenie, ale tym razem towarzyszył mu skurcz żołądka i podejrzaną obezwładniającą gorąco rozlewającą się po całym ciele. Odeszła od łóżka pacjenta, czując, że dobrze jej zrobi zimne powietrze. Albo, lepiej, zimna woda.

W łazience przyłapała Jo, która, pochylona nad umywalką, energicznie płukała usta.

- Jo, co się stało? Wyglądasz okropnie.

- Koszmarnie się czuję. - Jo podniosła głowę. - Mam torsje. O matko, żeby tylko się nie okazało, że Jestem w ciąży. - Popatrzyła na Alice. - Nie chcę!

Na wzmiankę o wymiotach Alice przed oczami zaczęły pływać czarne kręgi. Zasłoniwszy usta, pobiegła do kabiny.

Chwilę później chwiejnym krokiem dołączyła do Jo przy umywalkach. Z trudem podnosząc głowę, spojrzała w lustro. Odbicie Jo posłało jej słaby uśmiech.

- Hura! - jęknęła Jo. - To chyba przez to sushi.

Zaglądnąjąc do kabiny szóstej, gdzie skierowała go bardzo zajęta pielęgniarka selekcjonerka, nie spodziewał się, że to Alice leży w łóżku, a nie pacjent.

- Co ci jest?! -zawołał przejęty tak bardzo, jakby na tym łóżku ujrzał Emmy.

Leżała z zamkniętymi oczami. Była blada i tak słaba, że ledwie mówiła.

- Zatrucie pokarmowe. -Lunch?

- Uhm. - Nie otwierała oczu. - Razem z Jo jadłam sushi.

Na wzmiankę o jedzeniu znowu targnęły nią nudności. Z cichym jękiem odwróciła się na bok, w stronę pojemnika. Przytrzymał ją, a kiedy torsje się skończyły, pomógł jej ułożyć się na poduszce, po czym sięgnął po leżący w pogotowiu wilgotny ręcznik, by otrzeć jej twarz.

- Od kiedy tak źle się czujesz?

- Od dawna - jęknęła. Chciała odebrać mu ręcznik, ale nie pozwolił, troskliwie ocierając jej twarz. - Chyba umrę.

- Nie radzę. - Był zły, że nie może jej przytulić. Na samą tę myśl znowu jej zapragnął. - Emmy jeszcze nie nauczyła się kłusować - zauważył, starając się zagłuszyć najczarniejsze myśli.

Te słowa ją rozbawiły, ale gdy spróbowała się roześmiać, znowu ją zemdliło.

- Przepraszam. - Ucieszyło go, że potrafi ją rozśmieszyć nawet wtedy, gdy jest w tak opłakanym stanie. - Biedactwo - dodał tonem pełnym współczucia. - Zabiorę cię do domu, dobrze?

- Nie. Zostanę tu i cichutko umrę - wyszeptała. -Nie chcę zabrudzić ci auta.



- A gdzie Jo?
- Jej współlokatorka już ją zabrała do domu.
- Więc i ja ciebie zabieram do domu. - Było to niewątpliwie wykorzystanie sytuacji, w której Alice nie miała siły protestować, ale zdecydował, że postawi na swoim. - Chcę cię mieć na oku, żeby cię doglądać. Nie ruszaj się, przyprowadzę wózek.

Przezornie zaopatrzył się w mnóstwo specjalnych pojemników, koniecznie z pokrywkami, i ręczników, które bardzo się przydały w samochodzie, mimo że żołądek Alice był już całkiem pusty. W przerwach między atakami mdłości siedziała z opuszczonymi powiekami i głową opartą na zagłówku.

Emmy, która czekała na nich przed szkołą, dostrzegła przez boczną szybę bladą twarz Alice, która nie otwierała oczu.

- Co się stało? - wyszeptała drżącym głosem.
- Źle się czuje. Zjadła coś niezdrowego na lunch. Emmy uczepliła się jego ręki. Wpatrywała się w A-

lice, a on wyczuwał jej narastające napięcie. Alice nie mogła widzieć przerażonej twarzyczki Emmy, bo ciągle miała zamknięte oczy.

- Tatusiu, ona nie umrze, prawda?

O nie! Nie mógł sobie wybaczyć, że nie przewidział, jak na taki widok zareaguje dziecko, które straciło matkę.

- Nie, kochanie, Alice nie umrze. - Wziął córeczkę na ręce. - Jutro poczuje się znacznie lepiej.

- Ale... mogła umrzeć. Jak mama.

- Nie. - Pocałował jasną główkę. - Nie pozwoliłem jej umrzeć, bo musi cię nauczyć kłusować na Paddingtonie. Jedźmy do domu. Pomozesz mi nią się opiekować. Ja będę doktorem, a ty pielęgniarką, zgoda?

- I ją wyleczymy?
- Oczywiście.
- Na pewno?
- Na pewno. - Postawił ją na ziemi i otworzył tylne drzwi.
- To dobrze, bo ja nie chcę, żeby Alice była chora.
- Ja też - szepnął, zapinając jej pasy. Na moment zawiesił wzrok na kasztanowym warkoczu pasażerki na fotelu z przodu. - Ja też tego nie chcę.

Zdumiało go, jak głęboko jest o tym przekonany.

Dobę później najgorsze miała za sobą, ale czuła się kompletnie pozbawiona sił.

Leżała na licznych poduszkach, przy łóżku warował Jake, a do niej przytulała się Emmy. Było jej tak dobrze, że wcale nie miała ochoty się ruszać.

- Em, ciągle tu jesteś? - Andrew wszedł do pokoju z parującym kubkiem oraz talerzykiem z grzankami. - Przecież ci mówiłem, że Alice musi odpoczywać.

- Ja jej nie przeszkadzam - obruszyła się Emmy. - Ja ją przytulam.
- Bardzo mi to odpowiada - przyznała Alice.
- I pomaga?
- Zdecydowanie. Już od wielu godzin nie wymiotuję.
- Jesteś odwodniona. - Przysiadł na łóżku, stawiając kubek i talerzyk na stoliku. - Pomyślałem, że na pewno już ci się znudziła woda z cytryną.
- Ładnie pachnie. - Ostrożnie pociągnęła nosem.

- Pomidorowa. - Uśmiechnął się. - Wiem, że rekonwalescentom należy podawać rosół, ale mam wrażenie, że w tej chwili jeszcze nie byłby on pożądanym.

- Oj, nie. - Upajała się świadomością, że Andrew wpadł na pomysł pokrzepienia jej zupą. Ze się o nią troszczy.

Z jednej strony czuła ciepło jego uda, z drugiej ciepło Emmy, a na dywaniku Jake uniósł pysk, łakomie węsząc zapach grzanek. Kiedy ostatni raz czuła się otoczona taką opieką? Rodziną?

W dzieciństwie, ale wtedy była tylko ona i babcia. A tutaj poczuła się jak w prawdziwej kompletnej rodzinie.

Nie znajdzie nic lepszego. Nikogo, z kim tak bardzo by chciała być jak z tym mężczyzną i z tym dzieckiem.

- Skosztujesz tej zupy? - zapytał Andrew.

- Za chwilę - odparła podejrzenie drżącym głosem.

Emmy natychmiast wzmożła czujność. Jako już bardzo doświadczona pielęgniarka przyłożyła rękę do czoła Alice.

- Chyba masz terp...

- Temperaturę? - podpowiedział Andrew, powtarzając jej gest. - Nie. Nie wydaje mi się.

Wpatrując się w oczy Alice, odgarnął jej włosy z czoła pieszczotliwym ruchem. Jednocześnie nie spuszczał z niej tkliwego spojrzenia.

Emmy uważnie ich obserwowała.

- Tato, może Alice powinna odpoczywać w twoim łóżku?

- Hm... - Alice zauważyła jego nagle rozszerzone źrenice. Pożądanie? Strach? - Em, dlaczego?

- Bo jak ja jestem chora, to zawsze idę do taty łóżka i bardzo mi to pomaga.

- Hm... może nie teraz - odparła Alice, tłumiąc rozbawienie.

- Nie teraz - przytaknął ze śmiertelną powagą Andrew. - Nie teraz, teraz wypij zupełę, a ty, młoda damo... - przechylił się nad Alice, by zajrzeć córce w oczy -pójdziesz ze mną. Mamy konia i kucyka, którym trzeba dorzucić siana.

Niełatwo było się uwolnić od skutków zatrucia pokarmowego. Minęło kilka dni, zanim Alice była w stanie wrócić do pracy. Najprzykrzejsze jednak było to, że odwlekał się powrót do łóżka Andrew.

- Nie wzięłam pigułki - wyznała, gdy któregoś, wieczoru namiętnie się całowali na kanapie. - Prawdę mówiąc, dwóch.

- Nie warto było jej brać, bo i tak byś ją zwróciła. - Powiódł dłonią po jej boku, po czym objął ją w talii. - Schudłaś. Jesteś pewna, że masz na to siły?

- Jestem pewna, że mam, ale to... ryzykowne.

- Mam duży zapas prezerwatyw. Kupiłem je dawno temu, po naszej pierwszej nocy.

- Tak? - Uniosła brwi. - Nic mi nie powiedziałaś:

- Uznałem, że nie ma potrzeby. Jak chcesz, na wszelki wypadek mogę ich użyć.

Jak ona chce? Czy to znaczy, że jej ciąża nie byłaby dla niego katastrofą?

Byłaby. W ten sposób Melissa go usidliła. Szantażem zmusiła do ślubu. A tego Alice sobie nie wyobrażała.

Zwłaszcza teraz, kiedy wszystko zmierzało we właściwym kierunku, kiedy zanosilo się na to, że Andrew jej się oświadczy. Jak do tego doj-

rzeje. Musi mieć absolutną pewność, jak Alice, że chce być z nią przez resztę życia. Była gotowa cierpliwie czekać.

I nie miała zamiaru nigdzie się przeprowadzać.

Jo doszła do siebie po zatruciu pokarmowym o wiele szybciej niż Alice.

- To świetny sposób na zrzucenie paru kilogramów - stwierdziła tydzień później.

- Chyba żartujesz. Wolałabym przez miesiąc codziennie ćwiczyć w siłowni, niż tak cierpieć.

- Marnie wyglądasz. Nie wydaje mi się, żebyś sobie dała radę w siłowni. Jak się czujesz?

- Bywało lepiej. Straciłam apetyt.

Pierwszy dzwonek alarmowy dotarł do niej w następnym tygodniu, gdy w dalszym ciągu mdliło ją na widok jedzenia. I gdy się zorientowała, że jej miesiączka poważnie się opóźnia.

Niezauważona wzięła z oddziału test ciążowy i w wolnej chwili udała się do toalety.

Wynik próby nią wstrząsnął. Ciąża.

Kochali się noc wcześniej, nim się rozchorowała, a był to sam środek cyklu. Nie mogło być gorzej. Kilka dni w tę lub we w tę, a brak pigułki przeszedłby bez echa.

Siedząc na zamkniętej muszli, ukryła twarz w dłoniach.

Musi zaakceptować fakt, że to się stało.

Że trzeba jakoś to powiedzieć Andrew, przyznać, że historia zatoczyła koło. Że Alice nie jest lepsza od Melissy i że chce wymusić na nim ślub.

Wzięła na siebie odpowiedzialność za antykoncepcję, Andrew jej zaufał, a ona go zawiodła.

Rozpłakała się.

TLR

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Mechanizm zaprzeczenia to genialny wynalazek.

Alice doskonale zdawała sobie sprawę, że to tylko odroczenie, ale nie potrafiła się temu oprzeć. Jej rozumowanie przebiegało podobnym torem, jak wówczas, gdy powstrzymała się od wypytywania Andrew na temat Melissy oraz ich małżeństwa.

Nie chciała tego wiedzieć ze strachu, że ta wiedza przyćmi piękny obraz ich nowego wspólnego życia. Ale to, co ma mu do powiedzenia teraz, odniesie ten sam skutek, przez co jej marzenie nigdy się nie spełni. Czy można mieć do niej pretensję o kilka dni zwłoki? Potrzebnych jej do utrwalenia bezcennych wspomnień? Uśmiechu Andrew, tych muśnięć dłonią oraz wymownych spojrzeń, gdy znajdowali się na odziale.

Gdy krzątała się w kuchni, a Emmy była w innym pokoju, często odgarniał jej włosy, żeby pocałować ją w szyję, albo obejmował tak, by przez sekundę, dwie poczuła rozmiar jego pożądania. Czy można mieć jej za złe, że chce opóźnić moment, kiedy pętla się zaciśnie?

Żar w jego spojrzeniu, gdy zamierzał ją pocałować, kiedy leżeli w jego łóżku. Tego będzie jej brakowało najbardziej. Świadomości, że Andrew jej ufa.

Że jest kochana.

Mimo że przez kilka dni ta strategia się sprawdzała, Alice czuła coraz mocniejszy ból poczucia winy. Tak bardzo się starała zdobyć jego zaufanie, a teraz ukrywa przed nim tajemnicę, którą on ma pełne prawo poznać.

Praca okazała się błogosławieństwem, ponieważ zmuszała do odsunięcia na dalszy plan spraw osobistych. Do chwili, kiedy na oddziale przyszło jej zająć się pewnym przypadkiem.

Laura Green, kobieta trzydziestodwuletnia, przyjechała z krwotokiem, przerażona, że to poronienie. Towarzyszył jej mąż. Robił, co w jego mocy, aby podtrzymać ją na duchu, ale i w jego oczach Alice dostrzegła strach.

- Kochanie, będzie dobrze, nie płacz.

Zalewając się łzami, kobieta usiadła na łóżku, by Alice pomogła jej się rozebrać i włożyć szpitalną koszulę. Alice doskonale rozumiała jej strach.

Dla niej strata dziecka była wręcz nie do pomyślenia. Ono jest jej częścią. Częścią ukochanego mężczyzny. I każdego dnia w jej brzuchu staje się silniejsze.

Konsekwencje ujawnienia tej tajemnicy przerażały; ją, ale były też momenty, kiedy wpadała w zachwyty.; Nieważne, jak się ułoży między nią i Andrew, pragnęła tego dziecka z całego serca. Zawsze będzie je kochała] i chroniła.

Jako samotna matka?

Tak się niefortunnie złożyło, że do kabiny wszedł lekarz skierowany do Laury, którym okazał się Andrew. Na szczęście była akurat zajęta wkładaniem rzeczy pacjentki do dużej papierowej torby. Szelest papieru zagłuszył jej westchnienie, a potem, kiedy się pochyliła, by zamknąć torbę w skrzynce pod łóżkiem, miała czas otrzeć łzy.

Głowa do góry.

Jeśli jest jej pisane samotne macierzyństwo, poradzi sobie. Co prawda nie będzie to tym, o czym marzyła, ale z tego rodzaju rozczarowa-



niem ma do czynienia praktycznie od najmłodszych lat. Ile to już razy podążała za marzeniami, a gdy się rozwiały, cieszyła się tym, co jej z nich zostało?

Od samego początku przeczuwała, że to, co ją łączy z Andre w i Emmy, jest zbyt piękne, by miało okazać się trwałe. Była zatem przygotowana. Albo raczej będzie, wkrótce.

- Który to tydzień ciąży? - zapytał Andrew.

- Prawie dziesiąty.

- Cięża potwierdzona USG?

- Tak, robiłam USG w zeszłym tygodniu - odrzekła kobieta łamiącym się głosem. - Widzieliśmy bijące serduszko i... lekarz powiedział, że wszystko jest w porządku.

- To pani pierwsza ciąża?

Pacjentka nie odpowiedziała, tylko szlochając, wtuliła twarz w ramię męża, który przysiadł obok niej na łóżku.

- Od lat staramy się o dziecko - wyjaśnił. - Tak... to nasza pierwsza ciąża.

- Odczuwa pani ból w dole brzucha?

- Nie. - Pacjentka przeniosła wzrok na Andrew. - Czy ja je stracę?

- Odpowiedź na to pytanie poznamy niedługo. Najpierw sprawdzę, jak wygląda szyjka macicy. W zależności od tego, jak wypadnie to badanie, być może zrobimy USG. Alice, zmierz pani ciśnienie.

Dobrze, że mogła zająć się czymś konkretnym, zamiast stać, zmagając się z zamętem w głowie.

Miała szczerą nadzieję, że pacjentka nie straci dziecka, mimo że według statystyk najczęściej do poronień dochodzi do dwunastego tygodnia.

Jak długo Melissa zwlekała z poinformowaniem Andrew, że spodziewa się jego dziecka? Powiedziała mu o tym bardzo wcześnie, nim ciąża weszła w okres najbardziej zagrożony poronieniem, czy odczekała do drugiego trymestru, kiedy w przekonaniu wielu ludzi przerwanie ciąży nie jest do zaakceptowania?

Może Alice to najgorsze czeka tak czy owak, prędzej czy później?

Starannie owinęła ramię pacjentki mankietem ciśnieniomierza. W takich sytuacjach pomiar jest nader istotny, bo w przypadku poronienia ciśnienie może spaść do niebezpiecznie niskiego poziomu.

- Teraz poczuje pani spory ucisk - ostrzegła pacjentkę.

Gdy wpatrywała się w słupek rtęci aparatu, odniosła wrażenie, że różnie ciśnienie w jej mózgu, a gdy wsłuchiwała się w tętnienie w żyłach pacjentki, w tle słyszała donośne bicie własnego serca.

Jest zdecydowanie innym człowiekiem niż Melissa, ale czy Andrew zechce to dostrzec? Do tej pory ani słowem nie wspomniał o nieżyjącej żonie, co Alice było na rękę, bo mogła udawać, że Melissa nigdy nie istniała, więc się nie liczy. Popęłniła poważny błąd. Ich związek oraz jego przyczyna też są nieistotne. Historia się powtarza, mroczna i przerażająca.

- Ciśnienie sto trzydzieści na osiemdziesiąt pięć -zameldowała.

- To dobrze? - zaniepokoił się mężczyzna.

- Trochę za wysokie - odpowiedział Andrew - ale to skutek stresu. - Naciągał rękawiczki. - Proszę mi opowiedzieć o tym krwawieniu.

- To się stało tak nagle... - wyszeptała kobieta. -Stałam i nagle poczułam, że coś mi cieknie po nogach, spojrzałam w dół i zobaczyłam krew.

- Żona krzyknęła - dodał mąż. - Od razu wiedziałem, że stało się coś niedobrego. Natychmiast wziąłem ją na ręce i zaniósłem do samochodu. Nawet nie wzywałem karetki.

- Dalej pani krwawiła tak obficie?

- Nie. Siedziałam w aucie na ręczniku, ale bardzo go nie zaplamiałam. Czy... czy to dobrze? - W głosie kobiety zadźwięczała nuta nadziei.

- Zaraz to sprawdzimy. - Zaciągnął zasłonkę, po czym przystąpił do badania.

- Szyjka macicy zamknięta - stwierdził.

- To dobrze, prawda?

- To jeszcze nie jest ostateczna odpowiedź, ale gdyby było rozwarcie, to nie byłoby wątpliwości, że to poronienie.

- Co teraz? - zapytał mąż.

- Wykonamy USG. Jeśli serce płodu bije, to będzie dobry znak. Wówczas zatrzymamy pana żonę na godzinę, dwie, aż krwawienie ustanie. Przez ten czas zbadamy krew, będziemy monitorować temperaturę oraz inne parametry, żeby wyeliminować jakąś infekcję jako przyczynę.

Nikt nie odważył się zapytać, co się stanie, jeśli USG nie wykaże tętna płodu. Konsekwencje tego były oczywiste.

Jakiś czas później Andrew osobiście przeprowadził badanie ultrasonografem. Ustawił monitor tak, by on oraz oboje rodzice widzieli obraz. Laura i jej mąż trzymali się za ręce, Alice stanęła przy łóżku.

- Tutaj mamy pęcherz moczowy. - Wskazał na ciemną plamę. - A tutaj... macicę.

Cała czwórka wstrzymała oddech. Za cienką zasłoną toczyło się normalne życie oddziału ratunkowego, ale nie tylko Alice całą uwagę

skoncentrowała na monitorze. W pewnej chwili zauważyła, że Andrew nieznacznie ściągnął brwi. Zamarła.

Jest! Jedna z plamek rytmicznie tętniła. Tętno życia!

Kobieta spojrzała na męża. Na twarzach małżonków malowała się bezgraniczna ulga. Żeby nie okazać wzruszenia, Alice musiała odwrócić głowę i wówczas się zorientowała, że Andrew przeniósł na nią wzrok.

Patrzył na nią czule, ciepło. Podzielał radość tych uszczęśliwionych młodych rodziców.

Tego było za dużo. Żeby się nie rozplakać, Alice odstała od łóżka.

- Przepraszam, muszę... - Uciec. Niemal wybiegła z kabiny.

Wymknęła się, nawet na niego nie spojrzawszy.

To jej praca. Musiała zanieść próbki krwi do laboratorium analitycznego, ale to już drugi albo nawet trzeci; raz, kiedy unika kontaktu wzrokowego.

To dziwne. Jakby go unikała.

Ze ściągniętymi brwiami pochylił się nad zdjęciem rentgenowskim na ekranie komputera.

- Aż tak źle? - zapytał Peter, zaglądając mu przez ramię.

- Nie, nie. Proste złamanie kości promieniowej. Wystarczy założyć gips na kilka tygodni.

Peter pokiwał głową.

- Widocznie myślałeś o czymś innym, bo wyglądałeś na mocno zmartwionego.

- Wyglądałem na zmartwionego? - zapytał Andrew nonszalanckim tonem.

- Tak jest. - Kierownik oddziału uniósł brwi. - Jesteś pewien, że nie przyda ci się moja pomoc?

- Zdecydowanie. - Na potwierdzenie Andrew się uśmiechnął.

- Nie masz kłopotów z zadomowieniem się na naszym oddziale? Nie żałujesz tej decyzji?

- Ani trochę. - Kątem oka zauważył, że wróciła Alice. - Jestem bardzo zadowolony. - Czuł, że uśmiecha się coraz szerzej oraz że jego wzrok ześlizguje się z oblicza szefa.

Peter popatrzył w tę samą stronę.

- Uhm... - mruknął Peter ze zrozumieniem oraz nieskrywaną aprobatą.

- Halo! - zawołał Andrew, zniżywszy głos na tyle, by Alice go usłyszała.

Uśmiechnęła się promiennie. Może aż nazbyt promiennie.

- Wszystko okej?

- Oczywiście. - Jego pytanie chyba ją zaskoczyło.

- Jak ta pacjentka z krwawieniem?

- W porządku. Niedługo wróci do domu.

Dopiero teraz za plecami Andrew zauważyła Petera. Omiotła ich wzrokiem, po czym odwróciła spojrzenie.

Unika kontaktu wzrokowego? Dlaczego? Z powodu Petera? Przecież wie, że dla nikogo ich zażyłość nie jest tajemnicą, więc dlaczego jest taka... spłoszona?

- Muszę pędzić do... - Reszty nie dosłyszeli, bo pospiesznie się oddaliła.

Andrew zerknął na Petera, ale ten w zamyśleniu patrzył za Alice. Jakby i on zauważył różnicę w jej zachowaniu.

- Zostawiam cię z tym - oświadczył. - Skorzystam z tego, że chwilowo mamy spokój i zajmę się robotą papierkową. Nie zapomnij o spotkaniu, na którym będą omawiane zmiany w dyżurach. Im więcej nas tam będzie, tym lepiej.

Andrew położył dłoń na myszce komputera i wrócił do przerzucania obrazów rentgenowskich. Chciał jeszcze raz je obejrzeć, by mieć pewność, że niczego nie przeoczył.

Czuł, że coś mu się wymyka, ale na pewno nie miało to nic wspólnego z pacjentem, który złamał rękę. Chodziło o Alice. Skąd w niej ten dystans, odkąd...

Odkąd zajmowali się pacjentką zagrożoną poronieniem. Od chwili, w której wszyscy czworo odetchnęli z ulgą, gdy za pomocą USG zlokalizował tętno płodu i zapewnił przyszłych rodziców, że nie stracą dziecka.

Uradowany pomyślnym wynikiem badania, odkrył w sobie dziwną nutę tęsknoty. Przez chwilę wyobraził sobie, że bada Alice, że trzymają za rękę i oboje cieszą się tym naocznym dowodem zwiastującym nowego przybysza w ich stadle. Czyżby zdradził się z tą tęsknotą?

Nie daj Boże. Jeśli myśl o ich dziecku tak ją prze«j straszyla, to powinien jeszcze raz dobrze się zastanowić czy należy jej się oświadczyć.

Może Alice nie jest do tego gotowa? Może zależy jej wyłącznie na za-  
trzymaniu ukochanego domku?

Nie. Kręcąc głową, wstał od komputera, żeby wrócić do pacjenta i  
wysłać go do gipsowni.

To do Alice niepodobne. Ona nie wykorzystuje innych do osiągnię-  
cia celu. Oszustwo emocjonalne jest jej obce.

Jest przeciwieństwem Melissy.

To niemożliwe, by aż tak się pomylił w wyborze kobiety, której od-  
dał serce. Jeśli miał wątpliwości co do tego, jak bardzo się zaangażo-  
wał, to rozwiały się one ostatecznie, gdy Alice zatrzymała się sushi. Poza  
Emmy nikogo nie kochał tak mocno.

Czekał, aż Alice całkowicie wydobrzeje, żeby mogli razem to  
uczcić, czekał na odpowiednią chwilę, żeby jej wyznać, co czuje i o  
czym marzy na przyszłość.

Najwyraźniej ta odpowiednia chwila się oddala.

Pod wieczór ten moment stał się jeszcze bardziej odległy. Gdy więk-  
szość lekarzy i pielęgniarek zgromadziła się w pokoju dla personelu, na  
oddziale pozostała jedynie szczątkowa obsada. Andrew wszedł ostatni  
po tym, jak zwolnił ciężarną pacjentkę do domu z przykazaniem, żeby  
przestała się martwić. Stojąc przy drzwiach, rozejrzał się po zebranych  
w poszukiwaniu Alice.

Chciał z nią porozmawiać, zanim ona pojedzie po Emmy, zapropo-  
nować, by na kolację kupiła coś gotowego, żeby się nie przemęczała.  
W dalszym ciągu wyglądała niewyraźnie, mimo że po niedyspozycji  
żołądkowej powinna już dawno wrócić do normalnej formy.

- Nie chciałem rozsyłać oficjalnego okólnika - zaczął Peter. - I bar-  
dzo bym prosił, żeby słowa, które tu padną, nie wydostały się poza te

cztery ściany. Zaprosiłem was tutaj, ponieważ macie klucze do szafy z lekami, a powinniście wiedzieć, że ostatnio zauważono pewne braki w rozliczeniu leków.

Jest! Siedzi obok Jo w drugim końcu pokoju.

Chwilę mu zajęło, nim zrozumiał spojrzenie, jakie mu rzuciła. Dumne, zimne, wręcz wyzywające.

O Boże, czyżby pomyślała, że się za nią rozgląda w związku z nieścisłościami w rejestrze wydanych leków?

Czy to możliwe, że nadal jest przekonana, że on wątpi w jej wiarygodność?

Peter mówił coś o skrupulatności, o tym, że musi teraz przejrzeć karty wszystkich pacjentów, by sprawdzić, czy leki im podane zgadzają się z tym, co wyszło z szafki. Andrew puszczał to mimo uszu.

Za długo odwlekał rozmowę z Alice? Kierując się jak najlepszymi intencjami, starał się okazywać jej zaufanie na inne sposoby, ale ten króciutki kontakt wzrokowy przed zebraniem mu pokazał, że źle zrobił.

Że ma poważny problem.

Po raz pierwszy, odkąd zaczęli we dwoje zajmować się Emmy, Alice nie została na kolacji, którą sama przygotowała.

- Mam straszne zaległości - zaczęła się tłumaczyć, ledwie przekroczył próg domu. - Pranie, poczta i sam wiesz, różne domowe sprawy...

Wyniknęła się, nim zdążył cokolwiek powiedzieć. Równie szybko zniknęła po zebraniu na oddziale.

Potrzebowała czasu dla siebie. W swoim domku, w towarzystwie Jake'a, w wannie z rozkoszną, gorącą kąpielą. Żeby na spokojnie pogo-



dzić się z faktem, że po tylu cudownych tygodniach jej życie po raz kolejny staje na głowie. Prywatne i zawodowe.

To chyba największy kryzys w jej życiu.

Czy rzeczywiście na oddziale ktoś wykrada leki? Może się okazać, że to burza w szklance wody, bo ktoś po prostu zapomniał się wpisać do rejestru. Na pewno nie ona. Od tego ponurego incydentu w Londynie pedantycznie przestrzegała zasad związanych z wydawaniem leków kontrolowanych. Dwa razy sprawdzała wszystko, absolutnie wszystko, i zawsze się domagała, by ktoś ją sprawdził oraz razem z nią wpisał się do rejestru.

Mimo to była pierwszą osobą, na którą Andrew skierował spojrzenie. Żadna gorąca kąpiel nie wybieli jej zszarganej opinii. Wystarczył cień podejrzenia. Nigdy nie uda się uciec od przeszłości.

Andrew też się od niej nie uwolni, chociaż jeszcze nie zdaje sobie z tego sprawy. Dowie się o tym, kiedy ona wyzna mu swój sekret, a powinna zrobić to jak najszybciej, bo efekt całkiem uzasadnionego zaprzeczenia słabnie.

Jutro, pomyślała. Jutro mu powie.

Ale następnego dnia ona pracowała, a on miał dzień wolny. Po południu zabrał Emmy do kina, a kolację zjedli w mieście. Potem ona miała poranny dyżur, a on zaczynał późnym popołudniem i planowo kończył o północy.

Tej nocy spała w pokoju gościnnym. Tym samym, w którym nocowała na początku ich układu.

Łóżko wydało się jej zimne i nieprzyjazne. Nikt z niego nie korzystał, od kiedy przeniosła się do sypialni Andrew. Słyszała, jak w środku nocy wrócił do domu i jak pod drzwiami wołał ją półgłosem.

Udawała, że śpi jak kamień, ale mimo to miała nadzieję, że Andrew wejdzie do jej pokoju, że ją przytuli. Może wtedy by mu powiedziała i może doszliby do porozumienia.

Stał pod drzwiami przez dłuższą chwilę, a potem ruszył do swojej sypialni.

Im dłużej zwlekała, tym bardziej była zdenerwowana. Była tak spięta, że gdy dwa dni później przyszło im razem pracować, nie była w stanie skoncentrować się na tym, co robi. Rzeczy wypadły jej z rąk, wpadała na stoliki, strącając instrumenty na podłogę. Przez większość dnia była bliska łez. I wcale się nie zdziwiła, gdy Peter zaprosił ją do swojego gabinetu. Gdy wychodziła z nim z oddziału, czuła na sobie wzrok Andrew. Nie obejrzała się, nie życzyła sobie współczucia ani wsparcia, na które nie zasłużyła.

Peter od razu przystąpił do rzeczy.

- Alice, co się z tobą dzisiaj dzieje? Nie poznaję cię. Nie mogła zaprzeczyć tym zarzutom.

- Peter, przepraszam...

- Źle się czujesz? Pokręciła głową.

- Ja... Myślami jestem gdzie indziej - przyznała.

- Hm. Zauważyłem to już kilka dni temu. Sprawiasz] wrażenie... hm... wytrąconej z równowagi.

- Przepraszam, postaram się poprawić - obiecała.

- Mogę ci jakoś pomóc? Po raz kolejny zaprzeczyła.

- To nie ma nic wspólnego z pracą.

- Na pewno?

Zamrugnęła. Peter pyta, czy ma to związek z tym, co ją łączy z jednym z jego specjalistów? Czy już wszyscy wiedzą o niej i o Andrew? Nie może mu powiedzieć. Najpierw musi porozmawiać z Andrew.

- Czy to ma coś wspólnego ze znikającymi lekami? - zapytał.

Oddechnęła głęboko.

- Jak mam rozumieć to pytanie? Peter westchnął.

- Alice, wiem, co wydarzyło się w Londynie. Wiem, dlaczego musiałaś zrezygnować z pracy w tamtym szpitalu.

Wpatrywała się w niego z otwartymi ustami.

- Od kogo?

Przychodził jej na myśl tylko jeden potencjalny podejrzany. Jeszcze nic nie zabolęło jej tak mocno. Poczuli się oszukana, ale musiała poznać prawdę.

- Andrew Barrett?

- Nie.

To zaprzeczenie nie padło z ust Petera. Gdy się odwróciła, zobaczyła Andrew, który stał w progu. Wszedł do pokoju i zamknął za sobą drzwi.

- Ja na pewno tego nie powiedziałem. Prawdę mówiąc, na wyjaśnieniu, skąd ta informacja wyciekła, zależy mi tak samo jak tobie.

Przenieśli wzrok na Petera, który z kolei badawczo im się przyglądał.

- Przejąłeś funkcję szefa tego oddziału w miejsce Dave'a - powiedział Peter.

- To prawda.

- Pracowałeś z nim lata temu, tak?

- To też prawda. Ale nie rozumiem, jaki ma to związek z Alice?

- Zanim Dave skontaktował się z tobą, zwrócił się do kilku wspólnych znajomych. Wszyscy bez wyjątku udzielili ci rekomendacji - mówił Peter tonem pozbawionym emocji, bo tylko powoływał się na fakty, nie formułował opinii. - Jeden z nich wspomniał o pielęgniarce z Nowej Zelandii podejrzanej o kradzież leków, opowiedział też, jak dobrze sobie poradziłeś z potencjalnie groźną sytuacją na oddziale. Dave uznał za konieczne podzielić się ze mną informacją, że owa pielęgniarka wróciła do Nowej Zelandii i tu pracuje.

- Nie powiedziałaś mi o tym - odezwała się Alice. - Dlaczego?

- Bo nie zrobiłaś nic, co kazałoby mi cokolwiek mówić - wyjaśnił Peter.

- Do dzisiaj, tak? Aż zaczęły znikać leki?

- Do dzisiaj - przyznał Peter. - Ponieważ stałaś się tak rozkojarzona, że nie wykonujesz swoich zadań, jak powinnaś.

- Alice nie miała nic wspólnego z ginięciem leków! w Londynie - oświadczył Andrew z takim przekonaniem, że Alice i Peter aż na niego spojrzeli.

- Mówisz, jakbyś wiedział, kto to robił - zauważył Peter.

- Bo wiem, i to nie była Alice.

- Więc kto? - zapytał Peter.

Alice też bardzo to interesowało, ale w głowie miała \ taki zamęt, że nie mogła pozbierać myśli.

Andrew wiedział?! Myślała, że darzy ją zaufaniem, a on od samego początku nie miał powodu jej nie ufać!

To żaden dar!

Andrew nie zdążył odpowiedzieć Peterowi, bo w tej samej chwili zapisał jego pager, sygnalizując wezwanie do poważnego wypadku. Zerknął na wyświetlacz.

- Zatrzymanie akcji serca. Stanowisko reanimacyjne, jedynka.

Peter wstał, by mu towarzyszyć. Spieszyli się.

- Kto to był? - zapytała Alice, gdy byli w drzwiach. Andrew ledwie na nią spojrzał.

- Melissa.

TLR

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Szok ustąpił miejsca wściekłości. Nie, dzikiej furii.

Przez tyle lat dziękowała losowi, że daje jej szansę się wykazać, że pomógł jej zdobyć zaufanie Andrew, mimo że mógł mieć powód jej nie ufać!

A on nie miał tego powodu! Od początku wiedział, że jest niewinna. Mógł oczyścić jej imię lata temu, oszczędzić jej koszmarnych konsekwencji tamtego wstydliwego incydentu. Czyż nie dała mu okazji tego zrobić?

„Dalej jesteś przekonany, że to ja wykradałam te narkotyki?”.

Mógł jej wtedy to powiedzieć. Powinien, ale nie przeszło mu to przez usta. Kiedy mu wypomniała, że stracił wówczas do niej zaufanie, zorientowała się, że to w dalszym ciągu jest aktualne. I to dlatego za punkt honoru postawiła sobie pokazać się z jak najlepszej strony.

Okłamał ją. Może niechcący, ale to i tak niewybaczalne. Tym bardziej że ona zaufała mu bezwarunkowo, aczkolwiek zdawała sobie sprawę, że on ukrywa przed nią istotną część swojego życia. Związek z Melissą; pierwsze lata Emmy...

Praktycznie pozwoliła sobie puścić to w niepamięć, ale nie zrobiłaby tego, gdyby знаła rozmiary tego; sekretu. Albo tego, że dotyczy jej bezpośrednio! Miała pełne prawo posiadać tę informację. Tak jak Andrew tę, że ona jest z nim w ciąży! Chryste, ale pasztet!

Najgorsze jest jednak to, że Andrew jej nie zaufał. Że ją okłamywał.

Naprawdę myślała, że mają szansę na wspólną przyszłość? Chyba miłość ją zaślepiała!

W tej chwili czuła, że zaślepiają złość i świadomość, że została oszukana.

Długo chodziła zboląta i z ciężkim sercem po gabinecie Petera, by w końcu unieść głowę, zacisnąć zęby i wyjść.

W sektorze reanimacyjnym nie działa się najlepiej. Przez uchyloną zasłonkę zobaczyła płaską linię na monitorze kardiologicznym i cały zespół ratunkowy. Jo rytmicznie uciskała klatkę piersiową pacjenta. Jeden z młodszych lekarzy pracował z respiratorem, drugi podawał nowe leki. Andrew był w trakcie intubowania pacjenta, który wyglądał na całkiem młodego.

Andrew na pewno zrobi wszystko, by go ratować, pomyślała, ale tym razem nie miała serca podziwiać jego umiejętności oraz poświęcenia. Gdyby poszła tym tropem, mogłaby zacząć się zastanawiać, dlaczego ją oszukał, i go tłumaczyć, bo tak bardzo pragnęła, żeby to się nie skończyło.

Ale to nieuchronne. Musi się skończyć. Nie będzie z człowiekiem, który jej nie ufa. Musi przejść nad tym do porządku dziennego i zacząć od nowa.

Pielęgniarka rejestrowała całą akcję reanimacyjną, a wokół pacjenta zgromadziło się jeszcze więcej ludzi gotowych do pomocy, ale w tej chwili nic nie mogli zrobić. Wśród nich zauważyła Petera, który stał przy wejściu. Podeszła do niego.

- Przepraszam. Zdaję sobie sprawę, że zaniedbałam swoje obowiązki  
- powiedziała. - Obiecuję, że to się zmieni.

- Cieszę się. - Peter ściągnął brwi. - Może jednak jedź już dzisiaj do domu i odpocznij. Znajdę kogoś, kto cię zastąpi.

- Dzięki, będę ci dozgonnie wdzięczna. - Odetchnęła głębiej: zmiany należy wprowadzić jak najprędzej. - Czy mogę cię prosić, żebyś przekazał Andrew, że nie mogę dzisiaj odebrać Emmy ze szkoły?

Teraz na twarzy Petera malowało się zdziwienie. Domyślił się, że chodzi o coś więcej, niż mu się wydawało.

- Alice, dobrze się czujesz? Dokąd się wybierasz?

- Nic mi nie jest. Jadę do domu. Muszę załatwić pilną sprawę. - Ruszyła w stronę przebieralni po swoje rzeczy. Sprawa faktycznie jest pilna.

Ile czasu zajmie jej znalezienie nowego miejsca dla Bena? To jest priorytet. Gdyby miał się sprawdzić najgorszy scenariusz, ona i Jake mogą przemieszkać kilka dni w przyczepce, ale Bena nie zostawi.

A Emmy? Albo Andrew?

Musi z nimi się rozstać, zanim jej zbolełe serce się otrząśnie i zacznie brać górę nad umysłem. Zanim jej serce znajdzie usprawiedliwienie dla Andrew. Ale to, co zrobił, jest niewybaczalne.

Musi wyjechać jak najszybciej i jak najdalej.

Stchórzyła? Tak, ale wytrzymałość na ból ma swoje granice. Emmy i Andrew mają siebie nawzajem, a ona musi sama zadbać o siebie.

Akcja reanimacyjna się przeciągała.



Leki kardiologiczne poskutkowały migotaniem komór, kardiowersja rytmem serca, ale po minucie lub dwóch, niezależnie od ich wysiłków, na ekranie po raz kolejny pojawiała się linia prosta.

Mimo starań całego zespołu prawie godzinę później dla wszystkich stało się jasne, że nawet jeśli uda im się osiągnąć rytm utrzymujący przy życiu, mózg pacjenta będzie trwale uszkodzony na skutek przedłużającego się niedotlenienia.

- Czas zgonu - odezwał się Andrew zrezygnowanym tonem - czter-nasta zero siedem.

Mężczyzna miał zaledwie czterdzieści cztery lata. Był fanatykiem zdrowego stylu życia, a tego dnia w przerwie na lunch wybrał się po-biegać w parku. Zasłabł na mało uczęszczanej alejce, gdzie dopiero po jakimś czasie znalazł go przypadkowy przechodzień. Facet trochę tylko starszy od Andrew. Tym trudniej było wytłumaczyć jego nagły zgon zrozpaczonej żonie i dzieciom.

Po tej dramatycznej rozmowie Andrew natknął się na Petera, który przekazał mu wiadomość od Alice. Co to znaczy?!

- Zadzwoń do wychowawczyni - zdecydował. -Poproszę, żeby za-trzymali ją w świetlicy, dopóki po nią nie przyjadę o szóstej.

- Możesz wyjść wcześniej - odparł Peter. - Bez problemu cię zastą-pię.

- Czy Alice mówiła, dlaczego wcześniej wychodzi?

- Tylko tyle, że ma w domu pilną sprawę do załatwienia. - Peter baczenie go obserwował. - Muszę przyznać, że pierwszy raz widziałem ją tak zdenerwowaną.

Nic dziwnego, że się zdenerwowała. Wyjawiając, że leki kradła Melissa, otworzył puszkę Pandory, którą tak długo udawało mu się trzymać zamkniętą.

A jeśli Alice sobie pomyśli, że wiedział o tym od samego początku? Że już wtedy osłaniał swoją ówczesną przyjaciółkę, pozwalając, by cała wina spadła na Alice?

Powinien przynajmniej spróbować to wyjaśnić.

- Chyba skorzystam z twojej propozycji i wyjdę wcześniej.

Zadzwoń do szkoły i załatwi Emmy opiekę, żeby bez niej pojechać do domu. Odszuka Alice i postara się naprawić, o ile to jeszcze możliwe, sytuację.

Peter kiwał głową.

- Jak ją zobaczysz, to przeproś ją w moim imieniu za insynuacje, które padły z moich ust. Po zebraniu zgłosiła się do mnie pewna osoba i opowiedziała o wyjątkowo pracowitym nocnym dyżurze, kiedy przywieziono kilka ofiar wypadku drogowego, a personel był szczątkowy. Sprawdziłem, że tej nocy zużyto wszystkie siedem ampułek morfiny. W tym zamieszaniu pielęgniarka, która wzięła je z szafy, zapomniała wpisać je do rejestru. Dla mnie sprawa jest zamknięta.

Hm, ale nie dla Alice.

Niedługo potem z marsową miną, jak wówczas gdy bezskutecznie walczył o życie pacjenta z zawałem, wyszedł ze szpitala.

Jechał do domu gnany strachem.

Znając Alice, pomyślał, że nie byłoby nic dziwnego, gdyby zajęchawszy do domu, stwierdził, że spakowała swój dobytek i wyjechała.

Nie pozwoli, by tak się stało. Potrzebuje Alice. Emmy też jej potrzebuje.

TLR

Kocha Alice i Emmy też ją kocha. Z myślą o sobie oraz o dziecku musi walczyć. Z myślą o całej trójce, ponieważ są rodziną!

Zamiast pod swój dom, od razu zajechał pod jej domek. Dzięki Bogu, już z daleka dostrzegł jej auto. Bez trudu znalazł ją na wybiegu. Szczotkowała Bena. Jake siedział przy ogrodzeniu, ale nie przybiegł się z nim przywitać, a Alice nie popatrzyła w jego stronę.

Strach ścisnął go za gardło.

- Alice, proszę, przestań się nim zajmować i porozmawiaj ze mną. -  
Milczała. - Chociaż na mnie popatrz.

Ale ona dalej szczotkowała tego cholernego konia. Ben był uwiązany nieopodal poidła. W tym samym miejscu co tego dnia, gdy Andrew odkrył, że to Alice mieszka w małym domku. Za poidłem, na płocie, wisiało siodło. Pochyliła się, żeby oczyścić z błota nogi konia.

- Alice...

- Nie mogę przestać. Mam mnóstwo do zrobienia.

- Hm... - Czy ona nie zdaje sobie sprawy, jak ważne jest, by porozmawiali? Poczul się zlekceważony. Alice bagatelizuje ich związek? Na pewno łatwo jej to nie przychodzi. Oznaczałoby to, że pomylił się na wielu frontach, ale wykluczał taką możliwość. - Jak wybierasz się na przejażdżkę, to chyba nie jesteś aż tak bardzo zajęta.

Wyprostowała się i zwróciła w jego stronę. Na jej twarzy malował się bezgraniczny smutek.

- Muszę zaprowadzić Bena do jego nowej zagrody - wyjaśniła bezbarwnym tonem. - W ten sposób będę mogła wszystkie swoje rzeczy zapakować do jego przyczepki.

- Spakować rzeczy? Wyjeżdżasz?

Przewidział taką możliwość, ale uznał ją za nieprawdopodobną. A może po prostu nie zdawał sobie sprawy, jak mocno nim to wstrząśnie.

- Tak.

Jedno krótkie słowo może wywołać poważne reperkusje. Wręcz niedopuszczalne.

- Nigdzie nie pojedziesz! Nie pozwolę ci!

- Nie powstrzymasz mnie.

Otworzył usta, po czym bezradnie je zamknął. Co jej powiedzieć? Czuł, że Alice jest spięta. Był w stanie zrozumieć jej złość, ale nie to, że ma zamiar go porzucić. Jego i Emmy. Miał wrażenie, że ziemia usuwa mu się spod nóg. Jak zatrzymać Alice? Ona ma rację, mówiąc, że jej nie zatrzyma, sądząc po zaciętym wyrazie twarzy. Na pewno nie siłą fizyczną.

Odwróciła się tyłem, szczotkując szyję Bena.

- Szczęście się do nas uśmiechnęło - mówiła. - Jadąc do domu, zobaczyłam tę kobietę, która wypasa kozę przy drodze. Zatrzymałam się, żeby ją zapytać, czy nie zna kogoś, kto by przyjął Bena. - Głos jej zdrżał. - To niedaleko. Pojedziemy brzegiem rzeki, potem przejdziemy na farmę. Jake'owi należy się porządny spacer.

Spoglądając na Jake'a, Andrew odniósł wrażenie, że pies, podobnie jak on, instynktownie wyczuwa jej smutek. Siedział przy poidle i uważnie ją obserwował. Czekał na dogodną chwilę, żeby do niej podejść i ją pocieszyć?

Ktoś powinien to zrobić.

- Alice, proszę, pozwól mi wyjaśnić.

- Nie warto - ucięła, energicznie szczotkując lśniąca sierść. - Przeprowadziłam Paddingtona do zagrody bliżej twojego domu. Ma tam sporo siana, ale rano trzeba mu dorzucić.

Podeszła do ogrodzenia, odłożyła zgrzebło i sięgnęła po siodło. Andrew zbliżył się na tyle, by chwycić ją za nadgarstek.

- Posłuchaj mnie. Wiem, co myślisz, ale gdy wybuchła ta afera na oddziale, nie miałem pojęcia, że to Melissa podbiera leki.

Uwolniła rękę, po czym roztarła nadgarstek. Niepotrzebnie, bo wcale nie trzymał jej tak mocno, by mogło ją zabolec. Nigdy nie zrobiłby jej krzywdy. Czuł, że lada moment serce mu pęknie. Patrzył, jak Alice zdejmuje siodło z ogrodzenia i zakłada je Benowi. Nie próbował jej w tym przeszkodzić.

- Kiedy się o tym dowiedziałem, chciałem cię o tym poinformować - podjął. - Pojechałem pod twój adres, ale dom był pusty, a na nim tablica „Sprzedane”. Nikt nie wiedział, dokąd się wyprowadziłaś. Spóźniłem się i bardzo tego żałuję.

- Zanim go sprzedałam, upłynęło wiele miesięcy - zachnęła się. - Całymi miesiącami byłam bez pracy, nie miałam z czego spłacać kredytu. W końcu bank wystawił dom na licytację, wziął tyle, ile brakowało do spłacenia długu. Straciłam wszystko, na co tak ciężko pracowałam.

- Tak... Alice... przepraszam. Nie wiem, jak ci powiedzieć, jak bardzo jest mi przykro z tego powodu, ale, przysięgam, wtedy o Melissie nie wiedziałem.

Gdy prychnęła lekceważąco, był bliski załamania.

- Chcesz wiedzieć, kiedy poznałem prawdę?

Jasne, że chce wiedzieć.

Nie. W ogóle nie chce go słuchać. Już samo słyszenie jego głosu jest ponad jej siły. Nie mogła znieść jego smutku ani przeprosin płynących z głębi serca. Przepraszanie to za mało, żeby zrekompensować brak zaufania.

Z pochyloną głową zapinała popręg. Milczała, ale po chwili wahania Andrew odetchnął głębiej, po czym znowu zaczął mówić.

- Tego dnia, kiedy urodziła się Emmy. Kiedy dowiedziałem się, że moje dziecko ma poważne problemy z powodu morfiny, na którą było narażone w trakcie ciąży. Kiedy beczynnie patrzyłem, jak moje dziecko cierpi, walcząc z objawami odstawienia.

Alice gwałtownie uniosła głowę, wstrząśnięta takim wyjaśnieniem. Przerazający start w życiu dla jakiegokolwiek dziecka, ale Andrew mówi o Emmy! Jej kochanej słodkiej Emmy. Dzielnej ambitnej dziewczynce, która z takim uporem uczy się kłusować na kucyku.

- Obiecała pójść na odwyk. Przysięgała, że zrobi wszystko, żeby być dobrą matką. Dobrą żoną - dodał z goryczą. - Wiesz, co najlepiej jej się udawało? Oszukiwanie. Kiedy przestała pracować w szpitalu, musiała szukać nowych sposobów zaspokajania swoich nałogów, a jak przestał jej wystarczać alkohol, brała pieniądze z mojego konta, o czym nie wiedziałem. Na koniec znalazła źródła kokainy, a nawet heroiny. Tak dobrze ukrywała nałóg, że aby w to uwierzyć, kilka razy musiałem wcześniej wrócić do domu i po raz kolejny zastać dziecko bez opieki.

Ile w tej relacji gniewu i smutku. Czy to dlatego Andrew unikał tego tematu? Z obawy, że gdy puści tama, nie będzie w stanie zatrzymać potoku gorzkich słów?

- Wielokrotnie wysyłałem ją na odwyk do prywatnych klinik. Emmy nie poznawała matki, gdy ta wracała do domu z takich pobytów: Mu-

siałem pracować, zajmować się dzieckiem i utrzymywać to w tajemnicy. Koszmar.

- Dlaczego? - Alice nie pojmowała. - Dlaczego musiałeś trzymać to w tajemnicy? - Zwłaszcza teraz, kiedy Emmy już nic nie groziło. Dlaczego zataił to przed nią, przed Alice? - Przecież chyba wszyscy o tym wiedzieli?

- Tylko ci bezpośrednio zaangażowani w jej leczenie. - Pokiwał głową. - Melissa była mistrzynią manipulacji. Jak była w potrzebie, potrafiła przekonać każdego. Jak nie seksem i urokiem osobistym, to szantażem. Groziła, że odbierze mi Emmy i już nigdy jej nie zobaczę. - Westchnął. - Żeby mieć pewność, że małej nic nie zagraża, coraz częściej zwalniałem się z pracy. Zresztą czułem się odpowiedzialny za nie obie. Byłem ojcem Emmy i mężem Melissy. Musiałem coś zrobić, żeby uporządkować nasze życie.

Alice na moment zacisnęła powieki. Potworna historia, ale uznała, że musi wysłuchać jej do końca.

- A ten wypadek?

- Tego dnia była naćpana środkami wydawanymi na receptę, które popiła alkoholem, a ja poszedłem z Emmy do parku. Jak wróciliśmy, znalazłem ją nieprzytomną na podłodze u stóp schodów. Nie byłem w stanie udowodnić, że byłem poza domem, jak to się stało, a nie chciałem rozgłosu. Miałem do siebie żal, że nie umiałem sobie poradzić z tym problemem.

Nietrudno to sobie wyobrazić, pomyślała Alice.

- Słowem o tym nie wspomniałeś. Jakby Melissa nigdy nie istniała.



- Usiłowałem zerwać z przeszłością przez wzgląd na Emmy. Myślisz, że chciałbym, żeby się dowiedziała, że jej matka była narkomanką?

- Więc mi o tym nie powiedziałaś ze strachu, że jej powtórzę, tak? - Cofnęła się o krok. - Ty naprawdę nie masz do mnie zaufania. Wiedziałam. Tyle mi powiedziałaś.

- Kiedy? Kiedy ci to powiedziałem?

- Tamtego dnia na oddziale, kiedy zgodziliśmy się, że oboje mamy problem. Kiedy dałam ci szansę, żebyś mi powiedział to, co powinien być mi powiedzieć. To, co miałam prawo wiedzieć... Ze wiesz, że nigdy nie przywłaszczyłam sobie tych leków.

- Powiedziałem....

- Andrew, wiem, co mówiłeś! Jak wypomniałam ci, że wtedy, w Londynie, oświadczyłeś, że nie masz do mnie zaufania, to widziałam w twoich oczach wahanie. Ale ty zdecydowałeś, że nadal mi nie ufasz.

- Nawet nie myślałem o Londynie, tylko o tym, dlaczego wyjechałem z Anglii. Bo chciałem zacząć od nowa. Doprowadzić do tego, żeby na życiu Emmy nie kładł się żaden cień.

- Bałeś się, że się przed nią wygadam - powtórzyła. Albo przed kimś innym. Że znowu zaczną się plotki.

- Coraz gorzej. - Nie potrafiłeś mi zaufać - szepnęła.

Cokolwiek powie, będzie gorzej, ale nie mógł przestać. Bo walczył teraz o swoją przyszłość. O swoje życie.

- Alice, na Boga, ja ci ufam! Uwierzyłem ci, jak; powiedziałaś, że bierzesz pigułkę, prawda?

- Hm... może to ja nie powinnam ufać tobie.

Jak ona potrafi odwrócić kota ogonem!

- Zataiłeś przede mną prawdę, a to moja prawda. To na mnie zaciążyły podejrzania. To ja nie mogłam znaleźć pracy, straciłam dom i pieniądze. To ja haruję tu przez całe lata, łudząc się nadzieją, że nikt się nie dowie, dlaczego musiałam rzucić pracę w Londynie.

Pospiesznie odczepiła uwiąz od ogłowia Bena i zarzuciła mu wodze na szyję.

- Nie mówiąc mi tego, po prostu kłamałeś. Rzecz w tym, że nie ufasz mi bezgranicznie.

- Sama przed chwilą oświadczyłaś, że to ty nie masz do mnie zaufania - warknął, lekko oszołomiony jej napaścią.

Jak doszło do tej sytuacji? Zarzucają sobie brak zaufania, kłamstwo, i oboje cierpią. Przysięgał sobie, że już nigdy na coś takiego się nie narazi, a tu, proszę, pławi się w cierpieniu. Niemal w nim tonie.

- To prawda, tak? - Zjeżył się. - Miałaś jakieś wątpliwości? Przypomnij sobie ten dzień, kiedy rozmawialiśmy o twojej dzierzawie. Widziałem, jak się skurczyłaś, kiedy ja tylko zacisnąłem pięści. Podejrzewam, że uwierzyłaś w pogłoski o tym, że biłem Melisę. Byłaś przerażona.

- Przeraziły mnie moje własne słowa. Szantaż to nie moja specjalność. Nie jestem jak Melissa.

- Nie, nie jesteś - mruknął. - Żeby jej dorównać, musiałabyś zająć w ciążę i zażądać, żebym się z tobą ożenił. Wątpię, żebyś...

Urwał, widząc, jak zmieniła się jej twarz. Jakby ją raził piorun.

I nagle doznał olśnienia. To dlatego tak długo nie mogła się pozbierać po zatruciu pokarmowym.

To wyjaśnia jej nerwowość. Oraz to, że starała się go unikać. Kurczę, ona jest w ciąży!

Odwróciła wzrok, a on milczał. Domyślił się. Szarpnęła wodze i spięła Bena.

- Nie! - zawołał, po czym doskoczył, żeby chwycić wodze. - Co ty wyrabiasz, Alice?!

Chciała uciec, nic więcej. Andrew uważa, że ciężarna nie może jeździć konno? Ona musi odjechać, bo nie zniesie porównywania jej z Melissą. Gdy mocniej udami ścisnęła boki Bena, koń ruszył, szarpiąc wodze, których uczeplił się Andrew.

- Nigdzie nie pojedziesz. - Czyżby w jego głosie zabrzmiała desperacja? - Alice, proszę. Kocham cię. Nie odjeżdżaj.

On ją kocha?

Jedno krótkie słowo o niesłychanej sile. Jeśli było jakieś wyjście z tej dramatycznej sytuacji, to tylko w kierunku nadziei. To jej wystarczy, by zrezygnowała z ucieczki.

Ściągnęła wodze. Polecenia przekazywane Benowi kompletnie go zdezorientowały, ale starał się je wykonywać. Stanął, po czym wygiął szyję, by spojrzeć na swoją panią. Tym ruchem wyrwał Andrew wodze z ręki, przez co Andrew stracił równowagę, a gdy łeb Bena odwrócił się w jedną stronę, jego zad przesunął się w przeciwną. Oniemiała z przerażenia Alice zobaczyła, jak Andrew wylatuje w powietrze, po czym pada, uderzając głową o brzeg betonowego poidła.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Leżał bezwładnie na boku. Nawet się nie poruszył, a ona pomyślała, że umarł. Z okrzykiem pełnym rozpaczyny przerzuciła nogę nad końskim zadem i ciężko zeskoczyła na ziemię. Odepchnęła Bena.

- Rusz się! Zejdź mi z drogi! Boże, co myśmy zrobili?!

Padła przy Andrew na kolana, udami dotykając jego pleców. Pochyliła się nad nim, żeby sprawdzić, czy oddycha. Tak, oddychał.

- Andrew, słyszysz mnie? Andrew, otwórz oczy!

Jego twarz pozostała nieruchoma. Alice czym prędzej jedną rękę dotknęła jego szyi, by poszukać tętna, drugą dotykała jego głowy. W jednym miejscu poczuła lepkie ciepło krwi.

Na własne oczy widziała, jak uderzył głową w betonowe poidło, stracił przytomność i ma na głowie ranę, która może okazać się śmiertelna.

Z zapartym tchem, hamując łzy, delikatnie obmacywała jego czaszkę. Nie ułożyła go inaczej, bo skoro uderzył się tak mocno, że stracił przytomność, to nie można wykluczyć uszkodzenia kręgów szyjnych. Gdyby zaczęła układać go inaczej, mogłaby spowodować nieodwracalny paraliż. Oddychał, tętno miał miarowe i mocne, więc nie zachodziła konieczność zmiany jego pozycji.

Prawdę mówiąc, leżał w podręcznikowej pozycji bocznej ustalonej. Delikatnie przegarnęła palcami jego włosy, by sprawdzić, czy nie natrafi na gąbczaste uwypuklenie, co wskazywałoby na pęknięcie czaszki. Zorientowała się jedynie, że rana na głowie krwawi obficie. Przyłożyła do niej dłoń, by uciskiem spowolnić krwawienie.

Drugą ręką gładziła go po twarzy. Czoło, policzek i, bardzo delikatnie, opuszczone powieki. On ją kocha.

Aż tak bardzo? Tak, że poczuła, że jej życie straciłoby sens, gdyby Andrew umarł i nie został jego częścią.

Kocha ją i jej ufa. Dobrze wiedziała, że Andrew jej ufa. Do tej ostrej konfrontacji doszło wyłącznie z powodu jej urażonej dumy, bo Andrew nie powiedział jej, dlaczego uważał, że niesłusznie podejrzewano ją o kradzież narkotyków. Czy to ważne?

Wydawało się jej, że została strasznie skrzywdzona, bo straciła pracę i mieszkanie. Bo została zmuszona do powrotu do Nowej Zelandii i zaczynania wszystkiego od nowa, ale to przecież nic w porównaniu z tym, przez co przeszedł Andrew. On się dowiedział, że kobieta, którą poślubił, jest narkomanką. Był zmuszony beczynnie patrzeć, jak jego nowo narodzone dziecko walczy z objawami zespołu odstawienia.

Musiał cierpieć katusze, bo właśnie z tego samego powodu, dla którego Alice tak bardzo go kocha, nie zdecydowałby się na rozwód ani na to, by porzucić Melissę. Na pewno robił wszystko, co w jego mocy. Na; pewno za każdym razem wspierał ją w trakcie rehabilitacji, za każdym razem próbował odbudować ich wspólne życie.

To wręcz zdumiewające, że po takich doświadczeniach zdobył się na zaufanie wobec niej i odważył zaangażować się w nowy związek. Ufał jej bezgranicznie, a ona przed chwilą wytknęła mu właśnie brak zaufania.

- Przepraszam - wyszeptała.- Przepraszam z całego serca...

Przyjechał z dzieckiem do Nowej Zelandii, by rozpocząć nowe życie. To zrozumiałe, że nie miał ochoty na rozgrzebywanie ponurej przeszło-

ści. Oboje zresztą się zgodzili, że trzeba o niej zapomnieć. Sama z własnej woli na to przystała.

Gdyby opowiedział jej o Mel, domagałaby się, żeby wyjawiał jej wszystko. Teraz, kiedy ostatecznie poznała prawdę, chciała tylko jednego: by o tym zapomnieli i zaczęli od nowa.

- Błagam... - usłyszała swój szept. Błagam, daj nam tę szansę. - Andrew, proszę... Musisz żyć. Ja też cię kocham. Kocham cię do szaleństwa.

Zaślepiąca łzami nie zauważyła chwili, w której Andrew otworzył oczy.

- Kocham cię - wykrztusił.

- Och... - Zamrugła gwałtownie. Otarła łzy i z trudem odetchnęła głębiej. - Nie ruszaj się. Uderzyłeś się w głowę.

- Nic mi nie jest. - Ściągnął brwi, przyglądając się jej uważnie. - Masz... masz krew na policzku.

- Naprawdę? - Bezwiednie dotknęła twarzy, ale zorientowała się, że to krew Andrew. - To twoja krew. Masz ranę głowy.

Opuścił powieki.

- Powinnaś mieć rękawiczki.

- Nie potrzebuję - odparła drżącym głosem. Naprawdę ich nie potrzebowała. Z tego samego powodu, dla którego oboje czuli, że mogą się kochać bez zabezpieczenia. To kwestia zaufania.

A ona mu zarzuciła, że jej nie ufa. Powiedziała, że nie może mieć do niego zaufania, bo ją okłamał.

Procedury medyczne wymagały, by zadała mu kilka pytań dla oszacowania jego stanu, ale w tej chwili miała gardło tak ściśnięte, że nie przeszłoby przez nie ani jedno słowo.

Andrew znowu otworzył oczy. Tym razem jego głos zabrzmiał mocniej.

- Kocham cię, Alice.

- Ja też cię kocham. Uśmiechnął się.

- To mnie pocałuj.

Pochyliła się, by delikatnie musnąć jego wargi. Gdy się wyprostowała, cicho jęknął.

- Ojej! Sprawiałam ci ból?

- Nie.

- To o co chodzi?

- Należy mi się prawdziwy pocałunek. Parsknęła tłumionym śmiechem.

- Kochany, tobie należy się karetką. I kołnierz ortopedyczny. A do tego, zapewne, rezonans magnetyczny głowy.

- Nie. - Pokręcił głową.

- Nie rób tak! Nie ruszaj się.

- Przecież nic mi nie jest. Nabiłem sobie guza, poza tym z każdą chwilą czuję się lepiej. Szyja mnie nie boli. I poruszam wszystkimi palcami rąk i stóp, chyba sama widzisz? - Pomachał jej przed twarzą palcami. - Teraz daj mi usiąść.

Niezbyt chętnie pomogła mu przejść do pozycji siedzącej, a potem patrzyła, jak kręci głową z boku na bok i przechyla ją do przodu i do tyłu.

- Nic mnie nie boli - oznajmił.

- A głowa?

- O, tu trochę - przyznał, obmacując czołkę. -Hm... Nabiłem sobie niezłego guza. Wielkości sporego jajka?

- To przeze mnie - jęknęła Alice. - Nie powinnam była tak gwałtownie ruszyć.

- A ja zachowałem się jak idiota, czepiając się wodzy. Ja też nie jestem bez winy. Alice, przepraszam.

- Mnie jest bardziej przykro.

- A ja żałuję, że poddałem się wtedy tak szybko i że nie postarałem się cię odnaleźć. Zrobiłem tyle, ile było trzeba, żeby uspokoić sumienie. Jak cię tam nie zastałem... zrobiło mi się lżej.

- To zrozumiałe. Miałeś ważniejsze problemy w życiu.

- Wtedy jeszcze o tym nie wiedziałem. Speszyła się.

- O czym?

- O tym, że się w tobie zakocham. Już ci wyznałem miłość?

- Kilka razy. - Patrzyła na niego w zamyśleniu. - Powtarzanie tych samych zdań.... Obawiam się, że doznałeś wstrząśnienia mózgu.

- Zaraz ci udowodnię, że w skali Glasgow wypadam nieźle. Zapytaj mnie, jaki mamy dzisiaj dzień.

Posłusznie spełniła jego życzenie.

- Ten, kiedy nareszcie powiedziałem to, co już dawno powinienem był powiedzieć.

- O Melissie?

- Nie. - Westchnął. - Że cię kocham. - Poruszył się, wykrzywiając wargi w grymasie bólu. - Tak... o Mel też. Powiem ci wszystko, co chcesz. Koniec z tajemnicami.

- Nie muszę wiedzieć już o niczym innym.

- Nie chcesz usłyszeć, jak ona do tego doprowadziła? Jak po mistrzowsku cię wrobiła? Jak tego dnia udała, że na ciebie wpada, żeby wrzucić ci do kieszeni te ampułki?



- Może innym razem. - To bardzo dziwne, ale wcale ją to nie ciekawiło. - W tej chwili zależy mi wyłącznie na tym, żeby jak najszybciej przetransportować cię na ratunkowy.

- Nic mi nie jest.

- Nie uwierzę, dopóki nie usłyszę tego z ust kogoś, kto nie walnął się w głowę.

- Nie wzywaj karetki.

- Dlaczego?

- Bo niepotrzebna, a poza tym bo nie chcę. Jakbyś jechała za nią moim samochodem, to nie mogłabyś trzymać mnie za rękę.

- Twoim samochodem?

- Musimy odebrać Emmy. Jak już się upewnisz, że mimo wszystko funkcjonuję normalnie.

- Coś w tym jest. Myślę, że to da się załatwić, jeśli ja poprowadzę, a ty będziesz spokojnie siedział obok. - Uśmiechnęła się. - Naprawdę chcesz, żebym trzymała cię za rękę?

Chciał przytaknąć, lecz aż syknął z bólu, więc bez słowa chwycił ją za rękę i mocno uścisnął.

- Zawsze. I nie puszczaj.

- Obiecuję, że nie puszczę.

Pomogła mu wstać, bardzo ostrożnie i powoli, a potem krok za krokiem poprowadziła go do samochodu.

- Wrócę tu jeszcze, żeby rozsiodłać Bena i zamknąć w domu Jake'a - planowała na głos. - Potem zawiozę cię na ratunkowy, a jeszcze później pojedę po Emmy.

- Alice? - Andrew przystanął i mocniej ją objął, a ona spojrzała na niego.

- Dobrze się czujesz? Nie masz zawrotów głowy, mdłości? - zaniepokoiła się.

- Czuję... że mam niewyobrażalne szczęście.

- Bo uderzyłeś się w głowę? Nie nazwałabym tego wielkim szczęściem.

- Nie, bo nie odjechałaś galopem w siną dal. Bo mnie nie rzuciłaś. Bo być może jeszcze nie jest za późno, żeby powiedzieć, że cię kocham.

- Wcale nie jest na to za późno.

- Już dawno temu dojrzałem do tego, żeby ci to wyznać; Jak się zatrzymałaś sushi. Nawet wcześniej, ale...

- Rozumiem cię - odrzekła, uśmiechając się wyrozumiale. - To bardzo trudne. I strach powiedzieć to na głos. Ja też już jakiś czas temu chciałam powiedzieć ci o dziecku.

- Ale się bałaś, bo uznałaś, że pomyślę, że zastawiłaś na mnie pułapkę, jak Melissa.

Spuściła wzrok i przytaknęła. Gdy delikatnie wziął ją pod brodę, by spojrzeć mu w oczy, wyczytała w nich bezbrzeżną czułość.

- Jesteś zupełnie inna niż Melissa - powiedział cicho. - Nawet byś nie potrafiła być taka jak ona. Jesteś wyjątkowa i wspaniała. Brak mi słów, żeby powiedzieć, jak bardzo cię kocham. Nie zdawałem sobie sprawy, że coś takiego mnie spotka. Myślałem, że to Emmy jest wszystkim, co mam na tym świecie. Wszystkim, co najcenniejsze.

- Emmy na to zasługuje - przyznała. - To oczywiste, bo i ja ją kocham.

- Jesteśmy rodziną. Alice, wyjdiesz za mnie? Uśmiechnęła się, po czym lekko pociągnęła go w kierunku samochodu.

- Zapytaj mnie, jak będziesz miał głowę w porządku.

Zrobił to, gdy tylko tomografia komputerowa zlecona przez Petera nie wykazała żadnych poważniejszych zmian w mózgu. Wcześniej oczyszczono mu i założono szwy na ranę na głowie. Oczekał tylko, aż Jo wyjdzie z kabiny, obiecując, że postara się przyspieszyć procedurę wypisania go z izby przyjęć.

- Nie doznałem wstrząśnienia mózgu - oznajmił Alice. - Najwyżej bardzo lekkiego. Przez dzień lub dwa może mnie boleć głowa, ale nie ma mowy, żeby miało to negatywny wpływ na moją zdolność oceny sytuacji.

Miała ogromną ochotę się z nim podroczyć. Być może dlatego, że wiedziała, czego się spodziewać i chciała odwlec tę chwilę, jak długo się da, by delektować się słodką świadomością, że jej marzenie się spełnia.

- Nie wolno ci pić alkoholu ani prowadzić samochodu.

- Ja nie mówię o prowadzeniu auta! –Ujął ją za rękę. - Mówię o tym, co będzie mną kierowało do końca życia.

- Aha...

Siedząc na brzegu łóżka, przyciągnął ją do siebie, odwrócił jej dłoń i pocałował jej wnętrze. Ale przez cały czas wpatrywał się jej w oczy.

- Mówię o tobie - rzekł półgłosem. - O pierwszej, ostatniej i jedynej kobiecie, której nigdy nie przestanę kochać.

Słuchała go wzruszona. Nieobce było jej uczucie, gdy znajdzie się „tego jedyne”. I od wielu lat wiedziała, że jest nim Andrew. Trudno było jej uwierzyć, że oto stoi przed nim, że on jej dotyka, że wyznaje jej to samo, co ona chce mu powiedzieć.

- Ty, Emmy i nasze maleństwo. - Przygarnął ją jeszcze mocniej, tak że stali policzek przy policzku, serce przy sercu i trudno było się zorientować, które bije mocniej.

Ale jej na tym nie zależało.

- Alice, jesteśmy rodziną. Rodziną doskonałą.

- Uhm... - Westchnęła uszczęśliwiona.

- Więc... - Odsunął ją na odległość ramienia. - A-llice, wyjdiesz za mnie?

- Tak.

Uśmiechała się przez łzy. Nic więcej nie musiała mówić, bo Andrew złożył na jej wargach czuły pocałunek.

Nie trwał dłużej niż sekundę, bo oboje zdawali sobie sprawę, że w każdej chwili do kabiny może wpaść pielęgniarzka.

I tak też się stało. Jo wkroczyła z kartką różowego papieru. Gdy spostrzegła, jak blisko siebie stoją, uśmiechnęła się szeroko. Kiwając głową z aprobatą, wręczyła Andrew zwolnienie.

- Wiesz, na co masz zwracać uwagę. - Spojrzała na Alice. - Na każdy sygnał, że może coś przeoczyliśmy.

- Niczego nie przeoczyliście - zapewnił ją Andrew. - Spokojnie możecie mnie wypuścić.

Jednak gdy Jo ich opuściła, nie ruszył się z miejsca.

- Idziemy? - ponaglała go Alice.

- Jeszcze nie.

- A Emmy?

- Jest pod dobrą opieką. Bardzo lubi świetlicę. Zażyczyłem sobie drugie badanie.

- Jak to? - Alice struchlała. - Dlaczego? Głowa boli cię bardziej? Masz zaburzenia widzenia? Nie możesz...?

Położył jej palec na wargach.

- Nie dla mnie. - Uśmiechał się szeroko. - Dla ciebie. Dla nas. - Ale gdy w jej oczach wyczytał niepokój, spoważniał. - Pamiętasz Laure, tę pacjentkę, której groziło poronienie?

- Oczywiście, ale... - Zawahała się, wstrzymując oddech. To ważne. Ważne tak samo jak wszystko, co Andrew powiedział od incydentu w zagrodzie.

- Kiedy robiłem jej USG, żeby znaleźć tętno płodu, wyobraziłem sobie, że to my.

Słuchała go jak zauroczona.

- Nie myślałem o powikłaniach - dodał pospiesznie. - Ale w kategoriach zwyczajnego potwierdzenia ciąży. Chciałem stać przy tobie, trzymać cię za rękę i razem z tobą czekać, aż na ekranie pojawi się ta czarna kropeczka. Teraz chcę ją zobaczyć. Chcę zobaczyć nasze dziecko.

Ach, to dlatego w takim napięciu wpatrywał się jej w oczy.

Łzy zapiekły ją pod powiekami.

- Czy już ci mówiłam, że cię kocham? - szepnęła. Andrew zrobił niewinną minę.

- Nie pamiętam. Chyba rzeczywiście doznałem lekkiego wstrząśnienia mózgu. Powiedz to jeszcze raz.

- Masz to jak w banku. Będę to powtarzać, aż ci się znudzi.

- Nigdy nie będę miał tego dosyć - przysiągł, pochylając się, żeby znowu ją pocałować.

TLR

## EPILOG

Na twarzy dziewczynki malowała się piekielna determinacja. Stawała w strzemionach, po czym opadała na siodło raz za razem, w idealnej harmonii z krokiem kucyka, który w blasku słońca chodził w kółko po zielonej trawie.

- Wspaniale! - zawołała Alice. - Emmy, ty anglezujesz! Fantastycznie!

- To mi się podoba - rzucił Andrew z dumnym uśmiechem.

- Emmy, już przestań - powiedziała Alice. - Masz zmęczone nogi.

Ale Emmy ani myślała jej posłuchać. W dalszym ciągu, promieniejąc z dumy, krążyła po wybiegu.

Za spasionym kudłatym kucykiem dreptał duży pies. Eskortował Emmy i towarzyszył jej jako członek rodziny.

Pod bramą na wybiegu stał czarny koń. Mogłoby się wydawać, że spokojnie drzemie w cieniu rozłożystego drzewa, gdyby nie jego uszy, które ruszały się za każdym razem, kiedy mijał go Paddington ze swoim cennym ciężarem. Podobnie jak pozostali, Ben czuwał nad sytuacją.

Alice opierała się plecami o Andrew, który oplótł ją w talii ramionami. No, tam, gdzie kiedyś miała talię.

Aktualnie była to całkiem spora piłka, ponieważ za kilka tygodni miał przyjść na świat ich synek.

- Tato! Patrzysz? Zobacz, ja kłusuję!

- Widzę, skarbie, widzę. I jestem z ciebie bardzo dumny.

Gdy lekko ścisnął Alice, pod palcami wyczuł ruchy dziecka. Jak niesamowitym doznaniem jest doświadczanie jednoczesnego dotyku ko-

chanych osób, z zewnątrz i od środka, pomyślała z roztkliwieniem. Westchnęła.

- Dobrze się czujesz?

- Chyba jeszcze nigdy nie byłam taka szczęśliwą.

- Nie żal ci, że nie możesz dosiąść Bena w taki piękny dzień?

- Ben na pewno docenia takie wakacje, poza tym jestem za bardzo zajęta, żeby myśleć o przejażdżkach. Doprowadzenie ogrodu do porządku, tak żeby z tym zdążyć przed weselem, wymaga jeszcze mnóstwa zabiegów.

- Przpracowujesz się - mruknął Andrew. - Co ci strzeliło do głowy, żeby przed ślubem zabrać się za remont domu i zakładanie ogrodu? Moglibyśmy po prostu pojechać do najbliższego urzędu stanu cywilnego.

- Wiesz, dlaczego. - Odwróciła głowę, żeby na niego popatrzeć. I nacieszyć się miłością w jego spojrzeniu.

Postanowili poczekać ze ślubem do czasu, kiedy Emmy będzie mogła w nim uczestniczyć. Kiedy urodzi się ich dziecko. Bo ślub to nie tylko ceremonia, która wiąże kochających się dwoje dorosłych.

To święto nowej rodziny.

Pobiorą się w Boże Narodzenie, bo zgodzili się, że będzie to najpiękniejszy prezent, jaki można z jednej strony ofiarować, z drugiej otrzymać.

Rodzina.

- Patrzcie! - wołała Emmy. - Umiem kłusować. Mamo, zobacz!

Nie opuszczając ramion Andrew, Alice zwróciła się w jej kierunku.

- Patrzę, skarbie, patrzę.

- Ja też - dodał Andrew.



Zawsze będą czuwać nad swoimi dziećmi i je kochać. Oraz siebie nawzajem.

Ponieważ o to chodzi w rodzinie.

TLR